

Ewelina Mroczek

Dalej wesoło, niech popłynie gromki śpiew

W każdy czwartek o godzinie 18.00 do siedziby Stowarzyszenia Bochniaków spieszą członkowie chóru. „Wiadomości Bocheńskie” odnotowały, że chór rozpoczął działalność z końcem marca 2001 r. Do dnia dzisiejszego chór nie ma jeszcze nazwy, choć padały różne propozycje np. Cykady, Pospolite Ruszenie, Co wy na to? ale żadna propozycja się nie przyjęła. Po prostu pozostał „chór” i taką nazwą się posługujemy.



Uroczyste obchodzone pierwszą rocznicę powstania chóru.

Najważniejszą osobą w zespole jest oczywiście pan Stanisław Domański – dusza całego przedsięwzięcia, bo pan Domański dyryguje chórem, akompaniuje, podaje tonację w jakich chór ma śpiewać i proponuje nam niezwykle interesujący repertuar. Miłośnik historii, szczególnie naszej, narodowej kocha pieśni patriotyczne, „delektuje” się starymi tekstami pieśni rycerskich, powstańczych. Przynosi zachowane w jego prywatnych zbiorach archiwalnej wartości teksty i nuty. Zawsze wyjaśnia nam pochodzenie i okoliczności powstania proponowanej pieśni czy piosenki, przekazuje informacje o jej autorach. Jest więc dla nas skarbnicą wiedzy o polskiej kulturze śpiewaczej.

W bożonarodzeniowy czas wprowadził nas w klimat melodyjnych kolęd z XVI, XVII i XVIII wieku, a w rocznicę wybuchu konfederacji barskiej zaśpiewaliśmy piękną Pieśń Konfederatów Barskich z poematu Ju-



Na łonie natury.

liusza Słowackiego „Książd Marek” do muzyki Andrzeja Kurylewicza „*Nigdy z królami nie będziem w aliantsach*”. Wzrusza nas także poezja, pozytywistyczne przesłanie i przepiękna melodia dziewiętnastowiecznej pieśni „*Sadźmy przyjacielu różę*” napisanej przez autora „Zamku Kaniowskiego” Seweryna Goszczyńskiego. Podobne uczucia mamy śpiewając „*Za Niemen hen precz*”.

Teksty pieśni przepisuje dla każdego pani Jolanta Rozdolska i dzięki niej staliśmy się właścicielami okazałych już śpiewników liczących 96 pieśni. Oprawione w różnokolorowe okładki są podstawowym rekwizytem i wyposażeniem każdego chórzysty.

W naszym repertuarze są pieśni religijne, patriotyczne, legionowe, harcerskie, lwowskie, ludowe, biesiadne, popularne szlagiery z okresu międzywojennego (*Czarnoksiężnik, Polesia czar*) i z repertuaru warszawskich kabaretów (*Tango Notturmo*) i ostatniego półwiecza jak choćby brawurowa „*Cicha woda brzegi rwie*”. Wyboru piosenek i pieśni do śpiewania dokonujemy w zależności od pory roku, zbliżających się świąt liturgicznych i narodowych a także w związku z planowanymi wycieczkami chóru w plener i do naszych oddziałów.

Wycieczki do oddziałów Stowarzyszenia we Wrocławiu i Warszawie poprzedzone były starannym doborem



Nie zgaśnie tej przyjaźni żar...

repertuaru znanych piosenek o tych miastach, dlatego trudno się dziwić, że chór porwał do śpiewu tamtejszych Bochniaków i wprowadził wszystkich w wyjątkowo dobry i serdeczny nastrój. Wyjazd na Spisz w ub.r. z okazji targów rzemiosła europejskiego w Keżmarku zmobilizował nas do opracowania dwóch ludowych pieśni słowackich w języku naszych południowych sąsiadów, co wzbudziło niemałe zdumienie tamtejszej publiczności na późniejszym występie.

W tym roku Oplątek u Bochniaków usświetnił oczywiście nasz chór, a zainteresowanie występem było tak duże, że wieczór kolęd powtórzyliśmy przy szczelnie wypełnionych rozśpiewanych salach „Domu Bochniaków”. Także na Oplątku w Wiśniczu w komnatach zamkowych powtórzyliśmy nasz repertuar.

26 maja b.r. wspólnie z bocheńską „Arką” kierowaną przez ks. Bogusława Czecha wyjechaliśmy do sanktuarium w Pasierbcu, gdzie podczas uroczystej mszy świętej śpiewaliśmy pieśni maryjne. A podczas uroczystej kolacji zaprezentowaliśmy P.T.Ks. Kustoszowi Sanktuarium kilka wspaniałych i mało znanych polskich pieśni patriotycznych.

Jak już wspomniałam w każdy czwartek chór spotyka się w dużej sali „Domu Bochniaków” na I piętrze. Gromadzimy się wokół pianina przy którym zasiada nasz Maestro. Czasem zastępuje go pani Maria Maliszewska w repertuarze religijnym albo Dorota Ciećkiewicz w repertuarze lekkich piosenek. Na nasze wieczorne śpiewanie przychodzi często pani Małgorzata Czekotowska, która przy ZNP prowadzi profesjonalnie chór i wspiera nas swoimi umiejętnościami i możliwościami głosowymi. W chórze śpiewa 19 osób, ale do stałych najwierniejszych członków należą panie: Olga Broszkiewicz, Danuta Dąbrowska, Dorota Ciećkiewicz, Władysława Gawłowicz, Halina Kobiela, Dorota Korta, Anna Londo, Halina Latos, Maria Maliszewska, Ewelina Mroczek, Jolanta Rozdolska, Halina Ryncarz i panowie: Ryszard Haber, Stanisław Kobiela, Bogdan Kosturkiewicz, Zbigniew Maliszewski, Józef Mączka, Jan Paluch i Bolesław Wnęk.

Spotkania czwartkowe dla każdego z nas są ważnym wydarzeniem wyrwywającym nas z monotonii i nijakości kolejnego tygodnia. Obcowanie z piękną muzyką jest dla nas wytchnieniem, mamy świadomość, że uczestniczymy w czymś ważnym, szlachetnym, wzbogacającym nas duchowo i estetycznie. Są to także spotkania bardzo atrakcyjne towarzysko, bo przecież staliśmy się już dobrze zaprzyjaźnioną zgraną paczką. Każde spotkanie kończymy z reguły ok. 22.00 przyjacielskim kręgiem i starą piosenką szkockiej proveniencji „*Ogniska już dogasa blask*”.

Kiedy wychodzimy później na ulice i żegnamy się w świetle lamp rynek naszego miasta z pomnikiem króla Kazimierza Wielkiego wydaje się nam jeszcze piękniejszy i wówczas wiemy dobrze, że jest to nasze miejsce na ziemi.

Dzięki wspaniałomyślności państwa Maliszewskich dwa zebrania chóru odbyły się w ich domu i ogrodzie – w Wiśniczu. W tle lśnił nieopodal zamek Kmitów i Lubomirskich i wydawało się, że potężne kurtyny i bastiony tego zamczyska chłoną melodie naszych pieśni wielbiących chwałę rycerstwa polskiego. Rakiety wystrzelone osobiście przez gospodarza na cześć chóru zakończyły to sympatyczne spotkanie.

Dobrym duchem naszego zespołu jest pani Danusia Dąbrowska także z Wiśnicza, energiczna, pomysłowa i wtajemniczona w sztuki kulinarne. Ona pierwsza zaprosiła nas do siebie na ognisko już w maju albo w czerwcu ub.r. Z jej inicjatywy chór wracając z jednej z autokarowych wycieczek, stanął zwyczajem małopolskich krakowiaków, niespodziewanie na weselu syna naszej czołowej wokalistki pani Władzi Gawłowicz. Ku zaskoczeniu gospodarzy i weselników wtargnęliśmy na wesele z harmonią i piosenką:

*Otwierajcie bramy, otwierajcie wrota,
Bo jadą Bochniacy, nie żadna hołota*

I nieco dalej:

...jak nas nie wpuścicie nic po nas, nic po nas!

Przyjęto nas – a jakże – entuzjastycznie, obdarowując ciastem i gorzałką, jak należy, zgodnie ze staropolskim obycajajem.

Innym razem, kiedy kuligiem z Wiśnicza ku Lipnicy Murowanej umilaliśmy sobie zimowy karnawał, staropolskim żurkiem na ogórkowym zakwasie rozgrzała nas w swoich domowych wiśnickich pieleszach – Danusia Dąbrowska.

Miesiące ćwiczeń dały już efekty. Wiele piosenek śpiewamy już całkiem dobrze na dwa głosy albo na głosy tylko żeńskie i tylko męskie w niektórych zwrotkach jak np. w słynnym „*Summertime*” George’a Gershwina. Są także piosenki z partiami solowymi np. „*Polesia czar*”, ale na takie występy może się porwać poza oczywiście Marią Maliszewską tylko Ryszard Haber, Małgorzata Czekotowska czy Bogdan Kosturkiewicz.

Śpiewamy głośno i wyraźnie, czasem z ludowym zacięciem („hej, ha! od ucha! weselisko ucha, cha”). Nasz czysty śpiew niesie się przez okna „Domu Bochniaków” na ulicę i bocheński rynek. Niejeden przechodzień przystanie i zaslucha się odnajdując melodię z lat dziecińczych. Owe koncerty – ze względu na repertuar – jakże odbiegający od współczesnych mód – wzbudzają spore zaciekawienie, a dla starszych mogą być wzruszającym wspomnieniem.

Swoje koncerty rozpoczynamy „*Kantatą Bochniaków*” hymnem naszego Stowarzyszenia, napisanym przez legionowego poetę Bochniaka Edmunda Biedera do muzyki J. Krudowskiego (zginął w Katyniu). Nieoficjalnym hymnem chóru jest pieśń do melodii Fr. Schuberta „*Choć burza hu- czy wkoło nas*”, której każda zwrotka kończy się strofami:

*nie traćmy ducha nie –
choć wichur żagle rwie.*

Do szczególnie podniosłych pieśni, które wzbudziły uczucia patriotyczne narodu włoskiego w okresie rissorgimento należy słynny chór niewolników z opery Giuseppe Verdiego „*Nabucco*” zaczynający się od słów:

*Va, pensiero, sull'ali dorate
Va ti posa sui clivi, sui colli...*

(Pofruń myśli na skrzydłach złocistych,
przenieś duszę do gajów zielonych,
gdzie w błękicie wód przezczystych,
lśni się niebo mych rodzinnych stron)

Dopiero teraz, kiedy śpiewamy w języku Verdiego rozumiemy lepiej co oznacza pojęcie „belcanto” a więc połączenie pięknych słów z piękną melodią. I Maria Maliszewska wyjaśnia nam, że jeśli będziemy chcieli dokładniej poznać przesłanie kompozytora wiele pieśni będziemy musieli śpiewać w oryginale.

A przecież jesteśmy z ochotniczego zaciągu, gdyż „śpiewać każdy może” dodajmy w chórze i pod kierunkiem naszego kochanego Stasia.

Ewelina Mroczek

Marian Sołtys (Kraków)

Od zawodnika BKS-u do dziekana AWF c.d.

Odejście od bezpośrednich kontaktów z drużyną narodową, nie uszczupliło zakresu obowiązków pełnionych przez Władysława Stawiarskiego w ramach działalności społecznej we władzach centralnych, gdyż wkrótce, kierownictwo Związku „podrzuciło” mu udział w Komitecie redakcyjnym Biuletynu Szkoleniowego „Piłka Ręczna” powołanym do życia przez zarząd główny, a ponadto na wszelki wypadek — gdyby tamtego było za mało — „szefostwo” Rady Trenerów Polskiego Związku, co łączyło się z przyjęciem funkcji przewodniczącego Wydziału Sportowo-Wyszkoleniowego w zarządzie ZPRP. „Obdarowany” podziękował za zaufanie i zabrał się do roboty, choć uczelnia krakowska, ciesząc się że wyrósł — co zawsze było doceniane — fachowiec, wcale nie myślała go oszczędzać, bo tam przecież był podstawowy warsztat jego pracy zawodowej.

Obowiązki jakie przyjął na swe barki W. Stawiarski, wiązały się w efekcie z koniecznością zapoznania się z osiągnięciami innych, wysoko w tej dyscyplinie sportowej notowanych krajów. Wiarygodne materiały na ten temat można było zdobyć, poprzez przeprowadzenie obiektywnych obserwacji gry czołowych drużyn w trakcie mistrzostw świata, lub przy innych tym podobnych okazjach (międzynarodowe turnieje), a także uczestnicząc w sympozjach trenerskich IHF (Międzynarodowa Federacja Piłki Ręcznej), czy w szkoleniowych konferencjach metodycznych, na których czołowi fachowcy prowadzili teoretyczne i praktyczne zajęcia programowe.

Już pierwszy wyjazd do Erfurtu w 1956 r. w celu obserwacji meczu dwóch potęg w „siódemce”, a to Szwecji (mistrz świata) i NRD (ścisła czołówka) wykazał słuszność tego rodzaju polityki sportowej. Złożone po przyjeździe sprawozdanie zawierało wiele przydatnych dla szkolenia wytycznych, a autorzy wydawnictwa jubileuszowego „75 lat piłki ręcznej w Polsce” (1993) tak ocenili przekazany raport z tego wyjazdu: *Bardzo istotne były wnioski jakie wysunął Wł. Stawiarski po obserwacji spotkań, gdyż stały się one podstawą szkolenia naszych trenerów i instruktorów* — i dalej, po przedrukowaniu ich w całości w dosłownym brzmieniu zgodnym ze sprawozdawczym tekstem kończą — *Przytaczając te wnioski, in extenso, trzeba dzisiaj po 57 latach powiedzieć, że niektóre z nich są niestety nadal — zwłaszcza w męskiej piłce ręcznej — aktualne.*

Następny wyjazd, mający poszerzyć bank informacji o nowe materiały szkoleniowe, wiążący się z obserwacją II Mistrzostw Świata Kobiet w RFN, został dosłownie w ostatniej chwili odwołany (nasz rozmówca był już, w Warszawie mając w kieszeni paszport, dewizy i wszelkie rezerwacje), ze względu na tak zwane „wypadki poznańskie” (czerwiec 1956).

Według środków przekazu — mówi Wł. Stawiarski — bo tak fałszowano wtedy historię — miały one być zorganizowane przez „niemieckich podżegaczy wojennych”, a w rzeczywistości okazały się buntem robotników potężnych zakładów „Cegielskiego” ze względu na coraz większą zapaść gospodarczą i próbę drastycznego podniesienia cen żywności.

Ponieważ dotknęliśmy zakrętu historii, a przypomnienie takich niezwykłych wydarzeń nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodziło, lecz wręcz przeciwnie pozwoliło niejednokrotnie na odświeżenie niezbyt dokładnie zakodowanych faktów, które umknęły nam z pamięci, lub co do których mamy wątpliwości dotyczące ich rzetelnej oceny, warto w takim razie — korzystając z tej przypadkowej okazji — powrócić pamięcią do kuriozalnego, a jednocześnie skandalicznego przemówienia ówczesnego premiera -mocno zresztą siedzącego na tym stołku — J.Cyrankiewicza.

To prawie nie do wiary, aby ten człowiek — skądinąd krakowianin ze Zwierzyńca — więzień

Auschwitz — mąż znakomitej aktorki Niny Andrycz — żartujący z siebie, że mu włos z głowy nie może spaść (był łysy) — częsty gość Jamy Michalikowej i Piwnicy Pod Baranami, zaśmiewający się z kawałów politycznych, poddających w wątpliwość mądrość rządzących — przekazujący zatrzymującym go milicjantom z „drogówki” za zbyt szybką jazdę (jeździł sam bez obstawy), odpowiedniej wartości banknot z poleceniem „kwit należy zlikwidować” i ruszający z piskiem opon w dalszą drogę — aby człowiek ten — jak by nie było postać pełna kolorytu — mógł w czasie buntu poznańskiego żądać w swych groźbach — cytując z pamięci — „obcinania na przyszłość rąk manifestantom podburzającym klasę robotniczą pragnącą budować w spokoju socjalizm”. To wręcz anormalne, a tym samym dla szarego człowieka trudne do zrozumienia.

O ileż to w swym moralnym wydzwisku, było bardziej szokujące, niż pamiętne oświadczenie premiera Cimoszewicza (ta sama opcja polityczna), który w czasie niewyobrażalnej wręcz



Janusz Żarek i Władysław Stawiarski - Rzym 1960 r.

powodzi w 1997 r. stwierdził bezdusznie — nie patrząc na ogrom tragedii ludzkiej — że dla nie ubezpieczonych nie będzie żadnej pomocy państwowej. Jakież to brak wyobraźni i humanitarnego odruchu, u tak w hierarchii społecznej wysoko postawionego polityka. O Boże! jakże to wszystko pogmatwane.

Ale po tym kolejnym repetytorium z historii powróćmy do zasadniczego nurtu naszych wspomnień.

Trudno stało się — W. Stawiarski został w kraju a szkoda, bo nie dane mu było przeżyć satysfakcję patrząc jak Rumunki, które w Gdańsku namęczyły się, wygrywając z Polską eliminacje 5:2 (o czym już wiemy), bez trudu pokonały w finałowej walce niemiecki zespół 9:4. Zapoczątkowana akcja zdobywania informacji poprzez pozyskiwanie możliwie wszystkiego co nowe i dla dalszego szkolenia przydatne, znalazła swe stałe miejsce w rejestrze elementów, gwarantujących poszerzenie wiedzy polskich fachowców. Wszystko to odbywało się rzecz zrozumiała, w ramach posiadanych środków dewizowych, z tym że doskonalony i unowocześniany był oczywiście arsenał stosowanych technik najbardziej adekwatny do tych poczyniń (film, video, komputer).

Nasz narrator przekazujący swe wspomnienia uczestniczył w następnych latach zarówno w sympozjach organizowanych przez IHF (Internationale Handball Federation) — Sztokholm 1970, Maglingen — Szwajcaria 1973, jak i w międzynarodowych konferencjach trenerskich. Zresztą na podobne kursokonferencje wysłani byli rzecz jasna i inni fachowcy: J. Czerwiński, S. Majorek — Hiszpania, Szwajcaria, Z. Naglak z AWF Wrocław oraz nasz drugi bocheński specjalista J. Żarek — NRF i Jugosławia, a w następnych latach, kolejno młodzi szkoleniowcy podejmujący odpowiedzialne funkcje w szkoleniu centralnym.

Na tych wspomnianych wyjazdach nie kończyły się akcje dotyczące banku informacji, gdyż trzykrotnie miały też miejsce obserwacje mistrzostw świata — przy udziale dużej ekipy — co gwarantowało dzięki takiemu globalnemu rozwiązaniu, dotarcie do wielu interesujących wątków szkoleniowych (1964 CSRS, 1986 Węgry — Budapeszt, 1983 Polska — Katowice). W tych dwóch ostatnich imprezach wielki wkład pracy organizacyjnej wniosła L. Walczyk z AWF Kraków. Efektem tych wszystkich działań był bogaty i obiektywny materiał, przekazywany następnie na ogólnopolskich konferencjach trenerskich, publikowany w biuletynach szkoleniowych, wykorzystywany w pracy z kadrą narodową, stanowiący faktograficzne zaplecze dla prac magisterskich i dysertacji doktorskich, a także udostępniany jako cenne źródło autorom podręczników i skryptów.

Coś, a raczej nie coś a wiele, może na ten temat powiedzieć J. Żarek, który będąc promotorem licznych prac magisterskich i rozpraw doktorskich, doceniał przydatność tych nie kwestionowanych zdobyczy, wykorzystywanych niejednokrotnie w sytuacjach, w których trzeba — dokonując wyboru — postawić kropkę nad i.

PUBLICYSTYCZNE CIĄGOTKI

Materiały te pozostawały oczywiście też do dyspozycji W. Stawiarskiego, który pełniąc obowiązki pracownika naukowo-dydaktycznego w uczelni krakowskiej obarczony był — bo to należało do jego obligatoryjnych zadań — przygotowaniem publikacji o różnym poziomie zawartych w nich naukowych treści, a więc także i takich, w których dominuje dostępna ogólnie dla przeciętnego czytelnika, forma przekazu określona jako popularno — naukowa. Tak więc dla szerokiej rzeszy osób zainteresowanych tą problematyką, opracowane zostały i wydane w zasięgu ogólnopolskim,

podręczniki obejmujące tematykę piłki ręcznej 11-osobowej (1959 r. wsp. z A. Szymańskim, kierownikiem Zakładu Gier Sportowych AWF Wrocław, jednym z nesorów tej dyscypliny sportu) oraz piłki ręcznej siedmioosobowej (2 wydania 1973 i 1978)

Ale oddajmy tu głos W. Stawiarskiemu: *Współpracę przy tym drugim podręczniku zaproponowałem Januszowi Żarkowi autorowi wielu artykułów naukowych i skryptów, niezwykle cenionych na polskim rynku wydawniczym, ze względu na odpowiednio bogaty w nich ładunek wiedzy, który tak ciekawie i dostępnie potrafił autor wkomponować w tekst, że dzięki temu, nieraz pozornie zawile naukowe podstawy — dzisiaj zresztą coraz bardziej przez społeczeństwo doceniane — stawały się dla czytelnika łatwe do zrozumienia i przez niego w pełni uznawane. Propozycja współpracy została ku obopólnemu zadowoleniu przyjęta, a podział obowiązków zaakceptowany.*

Ale wróćmy do chronologicznego biegu wydarzeń. Podpisanie umowy na wydanie książki w jednym wydawnictwie państwowym „Sport i Turystyka” nie było dla «prowincjusza» — choćby nawet reprezentował władze centralne branżowej instytucji — wcale takie proste. Ale jeśli Opatrzność czuwa, a do tego ma się trochę szczęścia, to i trudności są do pokonania. Szczęście polegało na tym, że z jednej strony nikt ze specjalistów nie kwapił się do tego rodzaju pracy twórczej — a więc nie było konkurencji — z drugiej natomiast wydawnictwo to, w związku ze zbliżającym się jubileuszem, postanowiło wzbogacić rynek księgarski o pozycje, które reprezentowałyby swym zasięgiem wszystkie podstawowe dyscypliny sportowe, a więc i piłkę ręczną, która w naszym kraju zdobyła szturmem, z końcem lat pięćdziesiątych, pełne obywatelstwo.

Tak więc w efekcie „Piłka Ręczna 11-osobowa”, ujrzała w 1959 r. światło dzienne. Pozycja ta prezentowała widocznie pewne wartości, bo rok później doszła do autorów informacja, iż w Kijowie u naszych „przyjaciół — sąsiadów”, bez jakiegokolwiek porozumienia się ze stroną polską, zostało wydrukowane jej pirackie tłumaczenie. Tutaj — przy sposobności — należy przekazać czytelnikowi informacje, iż piłka ręczna rozpoczęła w ZSRR swój oficjalny żywot z końcem lat 50-tych (Litwa) i na początku szóstej dekady (Ukraina, Moskwa), wchodząc zresztą szybko do światowej czołówki i zdobywając następnie wiele tytułów mistrzowskich. Ponieważ Wydawnictwo „Sport i Turystyka” nie przejawiało większego zaangażowania przy wyjaśnianiu tego całego zdarzenia, zaczęliśmy się w tej sytuacji zastanawiać, czy nie zadziały tu — być może — jakieś uboczne próby nacisku ze strony naszych wschodnich sąsiadów, którzy — co pozostaje tajemnicą poliszynela — nagminnie łamali obowiązujące na całym świecie umowy wydawnicze i działali według własnych ustaleń, mając w nosie wszelkie międzynarodowe prawne decyzje w tej sprawie. W każdym razie faktem jest, że nigdy nie doszło do naszej wiadomości, gdzie i jak został ten pies pogrzebany”. A zresztą czort z tym, bo piractwo trwa do dzisiejszego dnia i mimo skomasygowanych wysiłków, ma się wcale dobrze.

Drugi podręcznik dotyczący piłki ręcznej siedmioosobowej, przygotowany został przez dwóch autorów identyfikujących się z Bochnią, co przez mieszkańców tego miasta może być przyjęte z pewną dozą satysfakcji, bo choć niewątpliwie — jeśli można pozwolić sobie na zażartowanie, nie jest to wiekopomne dzieło stanowiące o losach ludzkości, to niemniej nic nie stoi na przeszkodzie, aby przez zainteresowanych tą tematyką, zostało przyjęte z życzliwością i jako przydatne, zyskało ich aprobatę. Także

i ta druga książka cieszyła się zapewne uznaniem fachowców, skoro w etapie 5 lat doszło do drugiego poszerzonego wydania, co — traktując to jako efekt czytelniczego plebiscytu — stanowi najlepszą gwarancję i akceptację zawartych w niej treści.

Nie na tym jednak koniec, bo zgodnie z prawdą trzeba jeszcze dodać — nie przerażając się sentencją, „każda liszka swój ogon chwali” — że podręcznik ten został zakupiony przez Bułgarów, co uznać należy za pewnego rodzaju ewenement, biorąc pod uwagę znane powszechnie „wielkie osiągnięcia” tego kraju w zakresie piractwa wydawniczego.

Pisarskie opracowania, są wg W. Stawiarskiego tylko jednym ze sposobów zabezpieczających dotarcie do grupy społecznej skupiających w swych szeregach pedagogów ze specjalnością wf wykonujących swe obowiązki na różnych szczeblach szkolnictwa (od podstawowego do wyższego włącznie), a także do zespołu szkoleniowców w sporcie — okreśmy to umownie — wyczynowym. Użycie słowa „umownie” dokonane zostało z premedytacją, bo nie każde zawody sportowe — mamy tu na myśli szczególnie gry zespołowe jako najbardziej widowiskowe i popularne — stoją na takim poziomie, że można je oglądać z satysfakcją i odpowiednią dozą zaangażowania emocjonalnego, a nie z dezaprobatą — jak to nieraz ma miejsce w piłce nożnej — kiedy podania zamiast do partnera, adresowane są przeważnie do przeciwnika, a cały mecz przegradza się w bezładną kopaninę. W tego rodzaju imprezach słowo wyczyn zakrawa oczywiście na kpinę, a występujących w nich aktorów określić można jako sportowych, „pseudokomediantów”.

NAUKA A SPORT

Powiązanie wyczynu sportowego z nauką, stało się w ostatnich latach tak oczywiste, że wszelkie próby pozostawienia tych spraw na boku, grozić by mogły w konsekwencji wypadnięciem z głównego nurtu, do którego powrót byłby — być może — bardzo kłopotliwy i połączony nieraz z wielkim wysiłkiem. Proponowane w takiej formie rozwiązanie zyskało aprobatę, to też

w rezultacie zamysły te zostały ostatecznie zaakceptowane i — wzorem wysoko notowanych krajów — postanowiono także w Polsce organizować systematycznie — co kilka lat — konferencje naukowe, które w połączeniu z merytorycznymi dyskusjami panelowymi, stwarzałyby najbardziej utytułowanym specjalistom możliwości prezentowania — na podstawie przeprowadzonych badań zwłaszcza na uczelniach — najkorzystniejszych rozwiązań, gwarantujących wzbogacenie metod i środków szkoleniowych szczególnie cennych dla całej rzeszy praktyków.

Trudnej tej pracy podjęła się przy pełnej akceptacji polskiego związku — Katedra Gier Sportowych uczelni krakowskiej desygnując „na szefa” zespołu organizacyjnego W. Stawiarskiego, który zaprosił z kolei do współpracy kolektyw gwarantujący sprawne przeprowadzenie stojących przed nim zadań. Tak więc sprawami związanymi z programem naukowym zaopiekował się znany już doskonale z poprzednich wspomnień J. Zarek, a także B. Sakowicz oraz w zakresie prac organizacyjnych R. Tabor rodowity syn ziemi bocheńskiej, wspierany dzielnie przez M. Spiesznego.

Czy może być dla naszego miasta (oczywiście li tylko w sprawach, o których piszemy) coś bardziej satysfakcjonującego niż objęcie ogólnopolskiego przywództwa przez — prawie samych — z krwi i kości bochniaków? Retoryka się kłania — odpowiedzi nie będzie.

Konferencje te (jedna z nich o charakterze międzynarodowym) przeprowadzono w latach 1988, 1993 i 1998 z okazji kolejnych jubileuszów polskiej piłki ręcznej (70, 75 i 80 lat), co nie pozostało bez wpływu na podjęte akcje, powodując ze strony środków masowego przekazu — tak ważnych w kształtowaniu opinii publicznej — większe zainteresowanie. Na współpracy z centralnymi władzami polskiej piłki ręcznej nie kończyła się działalność naszego rozmówcy. Uważając za swój moralny obowiązek, brał aktywny udział w pracach władz regionalnych, pełniąc przez ponad 40 lat wiele różnych funkcji, łącznie z prezesurą w Krakowskim Związku Piłki Ręcznej.

C.D.N.

Kazimierz Blotko (Warszawa)

Adolf Gajdos (1889 – 1966)

Poeta dwóch narodów

Oficer armii austriackiej przed i w czasie I wojny światowej Czech z pochodzenia. Literat — Adolf Gajdos. Może nie wzbudziłby większego zainteresowania Polaków, gdyby nie to, że sam mówił: *Polska jest moją drugą ojczyzną*. W 1905 r. losy rzuciły go na tereny polskie, do Bochni, gdzie stacjonował jego pułk. Tu przebywał, jak pisze w jednym ze swoich wierszy, trzy lata. Zafascynowany tym miastem napisał wiersz zatytułowany „Bochnia 1905”. Przytoczę go w języku autora, gdyż nie podejmuję się w tłumaczeniu na język polski oddać jego ducha. Postaram się go tylko zinterpretować.

Bochnia 1905

*Cizi jsem vstoupil do kamenných ulic,
jazyka neznaly mazurskeho lidu.
Na rynku skupilna chasidu-zidu*

*brehentila žive, halasme se skadlic.
Te chvile ten, jenz Hospodar je sveta,
strujce zivotu lidi a drahy hvezd,
urcil v predjari dnu mych bloudeni, cest,
bych v blazenosti pobyl zde tri leta.
Divise hulanU zde lezela posadkou,
živa jeste z tradic bitevni, slavne vravy
u Ospru, Slavkova, UImu a u Varsavy,
travic bezdtarostne, žel, dobu miru vratkou.
Kamarad samot, miloval jsem mista
pro ticha osameni mezi rozkvetlymi lany,
cmentarz cholerny za kaplickou Panny,
kde mrtvi prachnivele pod podobou Krista.
Tak plynul drahny cas s medove slastnym letem,
cas blaženy za rosnych, rannich zori,*

*až utonul jsem v divcích oci mori,
když v naruč sevrel mne milosny mesic jeden.*

W tym wierszu Gajdos oddał wiernie obraz ówczesnej Bochni. Ów Czech, który później będzie pisał także po polsku, przyznaje się, że w czasie gdy to pisał, nie znał języka „mazurskiego ludu”. Polska wówczas nie była znana na świecie, ale znano krainę nad Wisłą, gdzie żył „lud mazurski”, stąd to określenie u Gajdosa. W Bochni zainteresowali go ortodoksyjni Żydzi, nazywani tu hasydami, albo husytami. Wówczas już licznie zamieszkiwali Bochnię. Przeważnie zajmowali się handlem. W przytoczonym wierszu autor wykazuje, że zna Bochnię w szczegółach. Píše np. o tzw. cmentarzu cholernym, który znajduje się „za kapliczką Panny”.



Adolf Gajdos.

Ten cmentarz, to właściwie kurhan, w którym znajdowały się (może co dziś się znajdują?) szczątki mieszkańców Bochni, którzy zmarli przed wiekami w wyniku zarazy cholery — jak mówiono dawniej — „morowego powietrza” Dziś powiedzielibyśmy — epidemii. A «kapliczka Panny», to stojąca do dziś przy ul. Krakowskie Przedmieście kapliczka pod wezwaniem, o ile pamiętam, św. Rozalii, gdzie przed II wojną światową miejscowy opiekun tego obiektu pan Pawełek organizował nabożeństwa majowe.

Właśnie na drodze pomiędzy ową kapliczką, a cmentarzem cholernym, na ul. Krakowskie Przedmieście pod numerem 32, znajdował się dom rodziny Ślizowskich. Adolf Gajdos musiał tę trasę często przemierzać, więc znał ją dokładnie. Tu bowiem mieszkała jego ukochana, Franciszka Ślizowska. Zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. To o niej píše w wierszu: *.....aż utonęłam w morzu dziewiczych oczu.* Prawda, że pięknie?

Franciszka Ślizowska była córką górnika kopalni soli Franciszka Ślizowskiego i Rozalii Ślizowskiej. Gajdos ożenił się z nią i po wojnie wyjechali do Brna w Czechach. Można by tu powiedzieć tradycyjnie „...i żyli długo i szczęśliwie”. Ale to nie koniec historii.

Wybuchła straszliwa wojna. I wojna światowa (1914-1918) i Gajdos poszedł na wojnę. Jak wynika z jego wierszy pisanych jeszcze po czesku, walczył na ziemiach polskich. W wierszu pt. „Kraina pod Jordanowem” opisuje to miasteczko, a właściwie wieś, położoną daleko od cywilizacji, gdzie mieszkają potomkowie rodzin, które za chlebem wyjechały do Pensylwanii do Ameryki. Wspomina jak niektórzy z gości w karczynie płacą Żydowi dolarami przysłanymi z Ameryki. Ciekawy jest fragment wiersza:

*Nalej žide – hej,
na zdravi – psiakrew!*

gdzie słowo „psiakrew” jest już po polsku. To normalne, bo obcokrajowcy najszybciej przyswajają sobie przekleństwa obcego narodu. Z tego wiersza wynika też, że wojacy nie tylko wojowali, ale mieli czas na odwiedzenie żydowskiej karczmy. Z

innych miejsc walki Gajdos wspomina Tarnów, gdzie ranny przeleżał w szpitalu. Zapamiętał także ulicę Anny. Nie wiem, czy taka ulica jeszcze istnieje w Tarnowie. W wierszu zatytułowanym „Górnicy z salin” Gajdos píše: *Soli je dostatek, chleba vždy malo.* Obrazuje to dobitnie nędzę ówczesnych czasów w Bochni. Chociaż, moja babka mówiła, że nie było to jak za Franciszka Józefa. Pewnie Gajdos widział to inaczej.

Zbiór tych i innych jeszcze wierszy z tego okresu wydał w 1949 r. czeski literat Jan Mucha, pt. „Adolf Gajdos - Louceni s Halici „(Pożegnanie z Galicją). Z tego zbiorku korzystałem między innymi przy opracowaniu niniejszego artykułu.

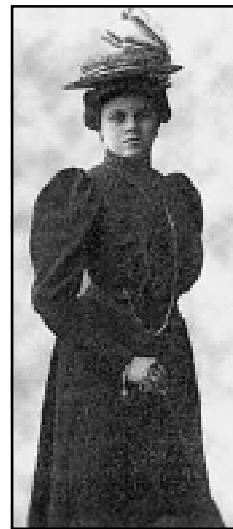
Niewątpliwie, pod wpływem żony — Polki, Gajdos opanował język polski do tego stopnia, że nie tylko tłumaczył polską poezję znanych autorów na język czeski, ale zaczął pisać własne poezje pięknym językiem polskim. Tłumaczył także utwory czeskich pisarzy na język polski. Ale w Polsce

mało kto interesował się poetą „dwóch narodów”. Znalazłem jednak informację o nim w polskim czasopiśmie „od A do Z”. Tu napisał obszerny artykuł o Gajdosie Aleksander Kulisiewicz.

Píše tak: *W Brnie, od 30 lat propaguje kulturę i literaturę polską poeta i publicysta Adolf Gajdos (ur.16.10.1889 r.). Kto i kiedy wymienił u nas to nazwisko? Nikt. A przecież elementarne poczucie wdzięczności wymaga, by za przyjaźń płacić przynajmniej wzmianką... Adolf Gajdos uważa Polskę za swoją drugą ojczyznę... Walczył na naszych ziemiach w czasie Wielkiej Wojny Światowej i to go związało z Polską na całe życie.*

Kulisiewicz nie znał prawdopodobnie innego powodu dla którego Gajdos umiłował Polskę. *Wrócił do Brna — píše dalej Kulisiewicz — gdzie poświęca się twórczości literackiej. Specjalnością Gajdosa stały się zbiory filozoficznych bajek dla dzieci, stylizowanych w subtelnej poetyckiej prozie. Ponad fantastyczność stawia wyżej realizm, ponad pychę — nędzę ogółu, ponad pieniądź — serce. Charakterystyczna jest powiastka o szewcu — dratewce, który stawszy się królem, kazał sobie przywołać jednego choćby szczęśliwego człowieka. Nie było takiego. Jedyń, prawdziwie szczęśliwy, zmarł na sianie w stodole królewskiej, w pięć minut przed audiencją — z głodu...*

Gajdos tłumaczy na język czeski twórczość wielu poetów polskich. Między innymi Staffa, Tuwima, Czuchnowskiego, Jalu Kurka, ale nade wszystko C. K. Norwida, który był jego idolem. Wydaje się, że Norwid wywarł na twórczości Gajdosa szczególne piętno. Podobnie jak u Norwida wiele jest metafor, wskutek czego poezje są czasem trudne do zrozumienia przez niewprawnych czytelników. Swoje utwory, pisane po czesku opatruje zwykle mottem po polsku, które stanowią fragmenty utworów Cypriana Norwida. Czyta i komentuje „Dziennik



Franciszka Ślizowska-Gajdosowa.

Polski”, „Kuznię”, „Odrodzenie” i inne czasopisma polskie. Swoje wiersze o Polsce zamieszcza w piśmie czeskim „Akord” (miesięcznik literacki pod redakcją czeskiego poety Jana Zahradniczka). W tym czasopiśmie zamieszcza m.in. przekłady Juliana Przybosa, Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, Leopolda Staffa, Kazimierza Wierzyńskiego, Józefa Czechowicza, Domańskiego i Piętaka. Szkoda, że nie dysponuję egzemplarzami tego wydawnictwa. Sądzę, że wdzięcznym tematem pracy dyplomowej studentów byłoby uzupełnienie biografii poety o te nieznanymi wątki.

Najbardziej typowy dla poezji Gajdosa, jako pisarza polskiego, jest napisany piękną polszczyzną w 1935 r. „List do Polski”. Pozwolę sobie przytoczyć jego fragmenty, gdyż lepiej niż mój opis, oddadzą charakter twórczości poety. List poprzedzony jest mottem Norwida: *O Polsko! Pieśnią Pan Bóg cię zapala. Aż rozgorzejesz, jak lampa na globie.* A oto obszernie fragmenty tego poematu;

*Na skrzydłach nocy, piórem złotych gwiazd,
listy Wam piszę serdeczne i tkliwe,
W mym sercu tysiąc wiedzie dróg -
dróg Waszych — przyjaciele.
I często zda się, że to Zygmunt dzwoni -
tu u nas w Bernie, po kościołach;
pośród tułacznych wspomnień moich
na Anioł Pański z wieczora...
I wtedy w myślach Wawel staje
i w smutnym jestem Krakowie,
i widzę znowu bój o Tarnów,
szpital wojskowy, ulicę Anny -
polską jesień i złote łany...
Cierlicko — Żwirkę i Wigurę
Ziemie Cieszyńską i Ziemię Mazurów
Wzrusza się Gajdos niewolą Polski. Pisze tak:
Wszak spała polska ziemia i spały lasy czarne,
a woń i poszum łąnow
aż pod niebiosą się wzbili;
Kochanko moja — gdzieżeś?'
Dlaczego mnie tak wabisz?
Wierzę: powstanie cała — cała polska ziemia,
śród burzy mocna, wśród spisków zwycięska!
Na tron zasiadła, cierniem koronowana
a naród płakał z radości po mękach...
Zastępy piaty Konopnickiej rotę:
nie damy ziemi, skąd nasz ród!
Patrz: harda ziemia, tak prosta, tak wielka,
gdzie w sercach płonie silna polska wiara,
Patrz Polska żyje! Polska nie skonała!*

W dalszej części Gajdos pisze o polskim morzu; z taką serdecznością, że nie wiem czy Polak by tak potrafił:

*Ty polskie morze, chłodne, ale krasne,
pochodnio Polski błogostawiona!
Imieniem Twoim Polska żyje, kwitnie, -
o morze polskie, młodej wiosny szczęście -
w tobie się dzieją wielkie jakieś cuda,
I w poszumie drzew nad brzegiem — w Oksywiu,
w huku i wrzawie żurawiów we Gdyni,
w pracy dla sławy wskrzeszonej ojczyzny,
w śpiewach rybaków, gdy wichry w żagle dmą,*

*w huku motorów, gdy bojowce płyną,
statki chorągwie niosą po Bałtyku -
hałas i wrzawa i świst dźwigarów!
(melodia polskich, polskich sygnałów...)
O morze głębin, piosenka bursztynu,
bałtyckich brzegów pieśni anioła,
piosenka sieci rybaków na Helu -
imieniem twoim często moja ziemia
jak drogim brokatem się ściele;
i śmiało w jutro spojiera...
Twoim imieniem jak szatą białą nad głowami wionę;
Twe imię jak zacny klejnot ja chowam
Twe Imię jak sztandar królewski poniosę... poniosę
na skrzydłach nocy — piórem złotych gwiazd.
Imieniem Twoim list mój podpisuję;
bajko ty modra — świecie nowych dróg...
Twoim imieniem nowy żywot wzrośnie -
o polskie morze! ...*

O sobie Gajdos mówi skromnie: *Moją pracą literacką nie pożywiłaby się nawet fiakerska szkap.* To typowo polskie porzekadło. Adolf Gajdos zmarł 26 października 1966 r. w Brnie przeżywszy 82 lata.

Zapytacie czytelnicy skąd się wzięło moje zainteresowanie tym poetą? Otóż wzięłam sobie do serca cytowaną wypowiedź A. Kulisiewicza, że elementarne poczucie wdzięczności wymaga by za przyjaźń płacić przynajmniej wzmianką. Odrabiam więc to zaniebdanie. Nie tylko jednak to skłoniło mnie do refleksji. Żona Adolfa Gajdosa Franciszka Ślizowska była siostrą mojej matki, a zatem Gajdos przez tę koligację stał się moim wujkiem. W okresie międzywojennym moja rodzina utrzymywała z nim kontakt. Gajdos przyjeżdżał kilkakrotnie z rodziną do Bochni. Po wojnie mieliśmy już tylko kontakt listowny. Nie było politycznych możliwości międzynarodowego podróżowania dla niektórych osób. Gajdos, jako człowiek mocno wierzący, nie był mile widziany w komunistycznym kraju. Pisze o tym, „między wierszami” że to dzieli nasze narody? „*Należy sobie zdać sprawę, by jak najprędzej doszło do zgody. Jesteśmy wszyscy po pas w wodach politycznych igraszek; łatwo któremuś z nas może się przytrafić, że bez pomocy drugiego — poczniemy tonąć i dalej pisze:...abyśmy zbliżeni i wiecznie miłujący pokój, z pochodnią świętej wiary, którą w proroczym widzeniu Wieszcze nam dali, uściskiem bratnich dłoni wywalczyli ufność.*

W 1947 r. poprosiłem wujostwo Gajdosów na mój ślub. Wujek odpisał; *Drogi Kaziu! dziękujemy za list z zawiadomieniem o Twoim ślubie. Żałujemy, że sytuacja światowa jest tak nieprzyjazna, że nie pozwala ludziom wolności podróżowania...* List napisany piękną polszczyzną zawiera tylko jeden błąd — ortograficzny. Mianowicie słowo „wójkowie” napisane jest przez „o” zamknięte co jednak zdarza się nawet polskim maturzystom, więc, jak na obcokrajowca, nie jest to wielki grzech.

Jeżeli kogoś z czytelników interesuje bliżej sprawa nie tylko Gajdosa, ale także innych Czechów związanych z Polską, którzy żyli w Polsce i żenili się z mieszkankami Bochni, proponuję odwiedzenie Muzeum im. Stanisława Fischera w Bochni. Są tam zgromadzone ich biografie

(Pan Kazimierz Blotko jest członkiem Oddziału Warszawskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej)

Krystyna Dziurdzia

Zapiski na pięciolinii

*Muzyka ma prawo do zajęcia najwyższego miejsca
pośród sztuk pięknych, gdyż bardziej, niż wszystkie inne
przyczynia się do szczęścia ludzkości*
(Herbert Spencer)

Przeglądając numery „Wiadomości Bocheńskich” zauważyłam, że prawie zupełnie brak w nich wiadomości o wydarzeniach muzycznych mających miejsce w Bochni. Pragnąc na miarę swoich skromnych możliwości „dziennikarskich” wypełnić chociaż częściowo tę lukę, postanowiłam, od czasu do czasu pisać o Szkole Muzycznej gdzie pracuję. Do współpracy zapraszać będę moich kolegów absolwentów i uczniów, którzy dzielić się będą swoimi przeżyciami z egzaminów, koncertów i wycieczek.

WYCIECZKA „ŚLADAMI FRYDERYKA CHOPINA”

Wycieczki do Warszawy i Żelazowej Woli na stałe weszły do tradycji naszej szkoły. Organizowane są one dla dwóch ostatnich roczników działu dziecięcego i młodzieżowego. W tym roku wycieczka taka odbyła się w dniach od 10 — 13 maja.

Komfortowym autokarem — ze wspaniałym kierowcą — dotarliśmy na miejsce noclegów — schroniska młodzieżowego przy ul. Karolkowej. Grubo mylili się wychowawcy sądząc, że zmęczeni podróżą uczestnicy szybko zasną. Grzeczne na co dzień dzieci dały niespotykany upust swej radości. Cisza nocna zapadła długo po północy. Sobota była bardzo pracowitym dniem. Zwiedziliśmy Zamek Królewski, po czym z panią przewodnik spacerowaliśmy urokliwymi uliczkami Starego Miasta.

O swoich wrażeniach pisze Iwona Przyborowska: *Na mnie największe wrażenie wywarło Stare Miasto i jego niepowtarzalny klimat. Piękne zabytkowe kamienice, dorożki, a także wąskie uliczki przenosiły mnie w inny świat. Jest to chyba jedyne miejsce w Warszawie, w którym nie wyczuwa się szybkiego tempa życia w dużym mieście. Warszawa jest dziś siedzibą władz Rzeczypospolitej Polskiej i centrum kulturalnym i gospodarczym. Jednak Stare Miasto ma całkowicie inny charakter od pozostałej części stolicy. Nie sposób także ominąć Zamku Królewskiego — jednego z najbardziej reprezentatywnych obiektów zabytkowych stolicy. Zwiedzenie Zamku i wszystkich jego zabytkowych sal zajmuje niekiedy nawet cały dzień, a nasza grupa miała na to tylko 2 godziny. Jednak to, co zobaczyliśmy, przeszło nasze oczekiwania. Każdy szczegół z bogatych zdobień był perfekcyjnie dopracowany. I właśnie ta niesamowita precyzja najbardziej mnie zachwyciła.*

Spacerując po Starym Mieście i Placu Zamkowym mieliśmy okazję oglądać paradę z okazji Dni Zjednoczonej Europy. Składały się na nią przemarsze różnych orkiestr, zespołów folklorystycznych, kiermasze, wiece, oraz różne imprezy artystyczne. Potem zwiedziliśmy Łazienki — Belweder, Pałac, Teatr na Wodzie.

Dzieci zafascynowane były pawiami, które jak na królewskie ptaki przystało, godnie zastępowały dawnych mieszkańców tego miejsca. Para pawia dała prawdziwie aktorski popis na deskach Teatru. Spacerując parkiem dotarliśmy pod pomnik F. Chopina, gdzie zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie.

Już o zmierzchu odwiedziliśmy Cmentarz Powązkowski. Na grobach rodziców Chopina, St. Moniuszki oraz kompozytorów i muzyków pochowanych w Alei Zasłużonych zapa-



Pod pomnikiem Fryderyka Chopina w Warszawie.



Dworek w Żelazowej Woli.

liliśmy znicze. Wreszcie zatrzymaliśmy się przy grobie Jerzego Żurawlewa – pianisty i inicjatora Konkursów Chopinowskich. Zapaliliśmy znicze i złożyliśmy wiązankę kwiatów z napisem: „Założycielowi i patronowi naszej szkoły – uczniowie i nauczyciele Państwowej Szkoły Muzycznej w Bochni”. Zmęczeni wróciliśmy do schroniska, aby zjeść przygotowaną przez mamy kolację. Potem ćwiczyliśmy śpiewanie kanonów, które miały uświetnić nasz udział w niedzielnej Mszy św. w kościele przy ul. Karolkowej. Przygotowywany naprędce program wypadł bardzo dobrze. Po Mszy św. wyjechaliśmy do Żelazowej Woli, zwiedzić miejsce urodzenia F. Chopina i wysłuchać koncertu fortepianowego w wykonaniu Wojciecha Światały. Na program koncertu złożyły się 4 ballady, które większość uczestników słuchało po raz pierwszy. W ostatnim dniu pobytu w Warszawie zwiedziliśmy Ogrody w Wilanowie.

Spacerując Krakowskim Przedmieściem, odwiedziliśmy Kościół św. Krzyża, gdzie złożyliśmy kwiaty pod urną z sercem F. Chopina. Nie zapomnieliśmy zrobić sobie zdjęcia pod pałacem prezydenckim.

Jeszcze raz spojrzeliśmy na piękną panoramę miasta – Starówki, Wisły i mostów tym razem już nie z okien autokaru, ale z wieży widokowej Kościoła św. Anny. Po icipie królewskim obiedzie w stołówce zamkowej, obejrzelśmy Grób Nieznanego Żołnierza i Teatr Wielki. Ten punkt programu okazał się najciekawszym.

Tak swoje wrażenia ze zwiedzania Teatru opisała Ania Włochowicz:

„Gmach Teatru Wielkiego przy placu Teatralnym jest siedzibą narodowej sceny operowo-baletowej od 1833 r. Zainaugurował swoją działalność inscenizacją „Cyrulika Sewilskiego”. W 1858 r. wystawiono tu m.in. pierwszą polską operę narodową „Halka” St. Moniuszki. Podczas II wojny światowej został zburzony. Po wojnie odbudowywany aż do 1965 r. W czasie pożaru w 1985 r. gmach uległ zniszczeniu. Odbudowę zakończono w 1996 r. A w roku bieżącym fasada gmachu została wzbogacona rzeźbą Apollina kierującego czterokonnym rydwanem. My mieliśmy to szczęście, że oglądaliśmy

gmach w całej okazałości. Z umieszczoną nad kolumnami kompozycją rzeźbiarską wygląda jeszcze piękniej.

Zwiedzanie rozpoczęliśmy po dzieleni na dwie grupy. Po obejrzeniu makiety Teatru przeszliśmy do części obejmującej garderoby. Każdy aktor ma swoją garderobę. Wiszą tam kostiumy, a przed lustrem przyciąga uwagę bogaty zestaw kosmetyków, służących do charakteryzacji. Oczywiście garderoby są w różnych kategoriach – gwiazdy aktorskie zajmują garderoby o wyższym standardzie. W jednej garderobie trwały próby do najnowszego przedstawienia. Pani przewodnik przeprowadziła nas korytarzem na scenę.

Objaśniła, że jedna część sceny jest ruchoma i w kształcie koła

– może przesuwac się do przodu, do tyłu i kręcić wokół własnej osi – w czasie manewrów należy bardzo uważać. Dowiedzieliśmy się również, że pod sceną przebiegają korytarze, którymi mogą przemieszczać się artyści niewidocznie dla publiczności. Przy scenie jest wydzielone miejsce zajmowane przez najważniejszą osobę w czasie spektaklu – czyli inspicjenta. To on czuwa nad sprawnym przebiegiem każdego przedstawienia. Scena robi wielkie wrażenie. Stojąc na niej wszystko wokół wydaje się małe. Patrząc w górę można zobaczyć zwisające worki z piaskiem i wielkie, kolorowe płótna. Jest to mechanizm i materiały wykorzystywane do scenografii. Po bokach sceny są wnęki kryjące bardzo ważną rzecz w każdym teatrze – dekoracje. Dekoracje w Teatrze Wielkim są imponujące jak sam teatr. Aż trudno uwierzyć, że można stworzyć tak ogromne, wręcz monstrualnych rozmiarów rzeczy z tak lekkiego i taniego materiału, jakim jest np. styropian. Oglądaliśmy m.in. dekoracje z baletów: „Dziadek do orzechów”, „Jezioro Łabędzie”; oper: „Halka” i „Carmen”. To była najweselsza część wycieczki po teatrze. Mogliśmy pobuszować wśród dekoracji, schodzić po schodach jak księżniczka z „Jeziora Łabędziego”, chwycić byka z opery „Carmen” za rogi czy wyglądać przez okno cukierkowego pałacu „Dziadka do orzechów”. Następnie zwiedziliśmy pracownię plastyczną, krawiecką i pracownię i rekwizytornię. Na zakończenie wycieczki dostaliśmy pamiątkowe podkoszulki i długopisy ufundowane przez Telekomunikację Polską S.A. – Program Edukacyjny.

Opuszczając gmach Teatru wychodziliśmy głównymi schodami i przechodziliśmy przez hall, którym na spektakl podążają widzowie. Nie wszyscy z nich pewnie wiedzą, jak ciekawa jest ta druga strona. My byliśmy bogatsi o nową wiedzę i nowe wrażenia, które pozostaną na długo w pamięci”.

Ostatnim punktem programu wyproszonym w większości przez chłopców było zwiedzenie z tarasu widokowego lotniska na Okęciu. Startujące co chwilę samoloty wzbudzały okrzyki radości i zachwyty u wszystkich uczestników. Z ciężkim sercem i godzinnym opóźnieniem wsiedliśmy do autokaru, aby wrócić do Bochni. *Wycieczka do stolicy była naprawdę wspa-*

niałym przeżyciem, lecz czas przeznaczony na zwiedzanie był o wiele za krótki. Dlatego uważam, że to, co zobaczyłam, to tylko namiastka miejsca, które kryje w sobie wiele piękna i tajemnic". – wspomina uczennica Iwona Przyborowska.

KONCERTY SZKOLNE

Jednym z zadań szkoły muzycznej jest nauczanie gry na różnych instrumentach oraz udział dzieci w zbiorowym muzykowaniu – orkiestrze smyczkowej, orkiestrze dętej, zespołe perkusyjnym lub chórze. Osiągnięcia te prezentowane są podczas egzaminów półrocznych i końcoworocznych, oraz na koncertach w wykonaniu najlepszych uczniów.

Innym rodzajem występów dzieci są popisy uczniów poszczególnych klas, na które zapraszani są przede wszystkim ich rodzice. Mają oni wówczas możliwość porównania gry swojego dziecka z innymi.

Urządzamy także koncerty dla uczniów szkół podstawowych. Koncert umuzykalniający „Kto tak pięknie gra” odbył się w dniu 10. IV b.r. Miał na celu zapoznanie dzieci z instrumentami, na których można się uczyć grać w naszej szkole. Dzieci ze Szkoły Podstawowej Nr. 7 oraz z Proszówek słuchały gry, aby później odpowiedzieć na pytania dotyczące nazwy instrumentów, tytułów utworów itp. Wybrane „ekipy” walczyły o tytuł melomana naszej szkoły. Podobny charakter miały koncerty przygotowane przez kolegę Tadeusza Stasicę. Ostatni z tej serii „Dzieci dzieciom” odbył się z okazji Dnia Dziecka. Oprócz solistów grających na różnych instrumentach wystąpił zespół perkusyjny oraz dzieci z I i III roku rytmiki klasy p. Małgorzaty Migas.

„Najpierw Ojczyzna, a potem sztuka” – to tytuł koncertu słowno – muzycznego z okazji Roku Ignacego Paderewskiego. Honorowym gościem tej imprezy był dr. Franciszek Pulit, autor książki „Śladami Paderewskiego”, który opowiedział o jego zasługach jako polityka, społecznika i patrioty. Uczniowie prezentując program wcielili się w postać małego i dorosłego Paderewskiego, cytując fragmenty jego listów i przemówień. Finał koncertu stanowiło odtworzenie uroczystości odsłonięcia Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie 15 lipca 1910 r. Wzięły w nim udział chór, który śpiewał Bogurodzicę i Rotę, oraz orkiestra dęta, w której wykonaniu usłyszeliśmy Hymn państwowy i I Brygadę zaś pieśń „Jest taki kraj” wykonała orkiestra wspólnie z chórem. Solistami byli uczniowie oraz nauczyciele: p. Izabela Szymańska i Marzena Lis.

Pan Pulit był bardzo wzruszony. Dziękując i gratulując wszystkim wykonawcom obdarował ich pamiątkowymi pocztówkami, folderami oraz książkami.

KWARTET SMYCZKOWY „ARCO”

Kwartet smyczkowy zawsze stanowił przykład najdoskońszszego zespołu kameralnego, znanego już od czasów J. S. Bacha. Zespoły takie uświetniały życie towarzyskie na dworach możnowładców a później mieszczań w całej Europie. Repertuar na tę obsadę tworzyli najwybitniejsi kompozytorzy: J. Haydn, W. A. Mozart, L. Van Beethoven, J. Brahms. Do tradycji takiego muzykowania nawiązali nasi nauczyciele i absolwenci:

skrzypce – Jerzy Grzesik i Jarosław Sroga
altówka – Anna Grzywacz
wiolonczela – Krzysztof Krawczyk

Miałam okazję usłyszeć 2 koncerty w ich wykonaniu: 19 kwietnia w Szkole Muzycznej oraz 27 czerwca w sali Muzeum. W obu tych koncertach muzycy zaprezentowali obok utworów takich mistrzów jak: J. S. Bach, L. Boccherini, W. A. Mozart, również przeboje R. Rodgersa, czy Duka Ellingtona. W czerwcowym programie usłyszeliśmy w finale świetny utwór – „Gigue” amerykańskiego współczesnego kompozytora Gustawa Holsta. Nawet niewprawne ucho słuchacza rozpoznałoby irlandzki charakter muzyki i ludowe brzmienie kapeli, grającej skoczny, rubaszny taniec – gigue (czyt. żig).

„Arco” zawdzięcza swoje sukcesy doskonałemu zgraniu i wielogodzinnym ćwiczeniom. Sponsorem „Arco” jest Urząd Miasta Bochni, który oby nim był tak długo, jak kiedyś ksiądz Esterhazy, zatrudniający przez 30 lat J. Haydna jako nadwornego kompozytora.

KABARET? CZEMU NIE?

Takie pytanie zapewne zadawał sobie dużo wcześniej nasz kolega – Tadeusz Stasica.

Od pomysłu do realizacji upłynęło parę miesięcy. Pomysłodawca kabaretu był autorem wszystkich tekstów i konferansjerem. Do współpracy zaprosił panią Magdalенę Kanię, która komponowała melodie do jego tekstów i aranżowała je. W kabarecie wystąpili nauczyciele naszej szkoły i zaproszeni muzycy, rodzice dzieci:

p. Mielcarek i p. Szydłowski. Kabaret zadebiutował w dniu 26 marca 2001 r. koncertem pod mało obiecującym tytułem: „I Ty zostałeś pedagogiem” zyskując aplauz i uznanie ze strony publiczności. Kolejny występ „May nas wzruszy” miał miejsce 14 maja 2001 r. oraz 10 października z okazji Dnia Edukacji Narodowej, kiedy zaproszonymi gośćmi byli nauczyciele z bocheńskich szkół. Oryginalność tej formy koncertu, oraz zainteresowanie i uznanie publiczności wróżą kabaretowi jeszcze wiele występów i sukcesów.

KONCERTY

Z UDZIAŁEM ZESPOŁÓW SPOZA BOCHNI

Wzięły w nich udział akordeoniści z Bochni z klasy mgr Wiesława Kusiona. Uczniowie zaprezentowali program, który mieli wykonać na Ogólnopolskim Konkursie Akordeonowym w Gorlicach. Naszą szkołę reprezentował Wiesław Ochwat, ubiegłoroczny laureat I nagrody. Dębicę – Paweł Kusion. Okazało się, że gościliśmy dwóch laureatów: Paweł Kusion – syn p. Wiesława zdobył I miejsce, Wiesław Ochwat III miejsce. Akordeoniści jeszcze raz zawitali do Bochni. Tym razem byli to uczniowie Szkoły Muzycznej II stopnia w Krakowie z klasy mgr Macieja Gładysza. Dwóch z nich: Ryszard i Bogusław Dziurdzia to nasi absolwenci. Innymi wykonawcami byli Tomasz Król i Paweł Łuczyński. W duecie akordeonowym z towarzyszeniem keyboardu usłyszeliśmy przeboje „muzyki poważnej”: „Marsz turecki”

W.A. Mozarta, „Taniec węgierski nr.5” J. Brahmsa, a także „Polkę Dziadek” i „Flick-Flack”.

Rozrywkowy charakter koncertu bardzo przypadł do gustu małym i dorosłym słuchaczom.

Opisana przeze mnie działalność Szkoły Muzycznej to tylko niewielki wycinek z muzycznego życia miasta. Więcej na ten temat w kolejnych artykułach.

Dorota Dobranowska

Brzeźnickie święto

Z okazji złotego jubileuszu 50-lecia kapłaństwa trzech księży prałata Jana Łacha, kanonika Józefa Kity i kanonika Józefa Nózki obchodzone w dniu 11 maja b.r. w Brzeźnicy podniosła uroczystość. Nad całością uroczystości czuwał proboszcz brzeźnickiej parafii ks. Józef Hołyst. Uroczystości przewodniczył nuncjusz apostolski w Polsce ks. arcybiskup Józef Kowalczyk oraz arcybiskup Wojciech Ziemba. Udział wzięli: ordynariusz tarnowski biskup Wiktor Skworec, miejscowe władze i zaproszeni goście i oczywiście prawie wszyscy mieszkańcy brzeźnickiej parafii, rodacy jubilatów. Oprawę artystyczną uroczystości dała orkiestra dęta Kopalni Soli „Bochnia”.

Jubilaci mówili o swojej niełatwej drodze do kapłaństwa, wspominali swoje pierwsze placówki duszpasterskie, radosne i ciężkie chwile związane z posługą kapłańską.

Ks. Jan Łach dzieciństwo spędził w parafii brzeźnickiej, a dokładnie w Gorzkowie, najpierw uczył się w niższym seminarium duchownym, później studiował w Wyższym Seminarium Duchownym w Tarnowie, a magisterium z teologii uzyskał na Wydziale Teologicznym U.J. Następnie podjął studia specjalistyczne z zakresu biblistyki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie obronił rozprawę doktorską p.t. „Ostatnia Wieczerza”.

Do 1967 roku wykładał przedmioty biblijne w Seminarium Duchownym, a następnie wyjechał na studia do Rzymu i uczył się też w Studium Biblicum Franciscanum w Jerozolimie. Kiedy wrócił do kraju został adiunktem w katedrze teologii biblijnej w Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Wspominał, że habilitację zdobył w ciągu dwóch lat na podstawie rozprawy „Jezus Syn Dawida. Studium egzegetyczno-teologiczne”. Następnie napisał dwie rozprawy, aby uzyskać docenturę aż w końcu 1987 roku został profesorem zwyczajnym. W latach 1990-1996 przez dwie kadencje pełnił funkcję rektora Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. Jest autorem ośmiu książek wydawanych także za granicą. Tłumaczył z języka hebrajskiego Księgi Samuela,

jest autorem kilkuset artykułów naukowych i nadal prowadzi aktywną działalność naukową.

Na drodze swojej kapłańskiej posługi najwięcej parafii poznał **ks. Józef Kita** pochodzący z Jadownik Mokrych. Jako wikariusz pracował w Trzcinie, Staszkowicach koło Gorlic, Łososinie Dolnej, Zagorzycach (dziś diecezja rzeszowska) i w Lubzinie koło Dębicy, następnie w Zasowie i Padwi Narodowej (obecnie diecezja sandomierska). Probostwo uzyskał w Kamionnej koło Żegociny, gdzie spędził 12 lat następnie proboszczował w Brzeźnicy 23 lata (aż do emerytury). W swoich homiliach często wspominał o historii i dziejach regionu, utrzymywał tradycje, obrzędy i miejscowe zwyczaje. Był nauczycielem katechezy. Propagował miłość do Ojczyzny, nauczał młodzież na przykładach naszych patriotów, bohaterów narodowych, twórców, pisarzy. Był oddany Kościołowi nie tylko duchowi, bo przecież z wielkim oddaniem dbał o zabytki sakralne o otoczenie zabytkowego kościoła. W 1994 roku ufundował figurkę św. Józefa, która znajduje się przy placu kościelnym w Brzeźnicy. Po przejściu na emeryturę za zgodą biskupa zamieszkał w swojej ukochanej wsi.

Ks. Józef Nózka od urodzenia był związany z Brzeźnicą, gdzie rozpoczął naukę szkolną. Kiedy był w 1 klasie Gimnazjum w Bochni wybuchła druga wojna światowa, więc dalszą naukę kontynuował konspiracyjnie u dyrektora Jana Królikiewicza w Nowym Wiśniczu. Po wojnie po uzyskaniu świadectwa dojrzałości podjął studia w Wyższym Seminarium Duchownym w Tarnowie. Pierwszą jego placówką duszpasterską był Baranów Sandomierski, następnie Mielec. W Przeczyce koło Jasła pracował jako proboszcz i kustosz Sanktuarium Matki Bożej Wniebowziętej przez 31 lat, aż do emerytury. W swojej posłudze kapłańskiej przeżył wiele radosnych dni, wśród nich wymienił uroczystość 50-lecia koronacji Matki Bożej w Przeczyce i rekoronację cudownego obrazu, bowiem koronę ze skroni Matki Bożej zdarły świętokradzkie ręce w 1937 roku. Aktu rekoronacji dokonał ówczesny metropolita krakowski ks. kardynał Karol Wojtyła. Zasłużony jubilat na emeryturę udał się do swojej rodzinnej Brzeźnicy i nadal pełni posługę kapłańską.

Na koniec warto dodać, że wszyscy trzej jubilaci otrzymali święcenia kapłańskie w 1952 roku z rąk ks. biskupa Jana Stepy.

Stanisław Fischer

Dr Juliusz Bartłomiej Gofron profesor bocheńskiego gimnazjum

Wielce interesującą postacią w naszym gronie nauczycielskim był profesor doktor Bartłomiej Gofron. Był to syn chłopski ze Szczurowej w powiecie brzeskim. Jego ojciec, obrotny gospodarz wiejski handlował kolejno gęsiami, świniami i wołami, które wywoził na jarmarki krajowe i na Śląsk i za zdobyte pieniądze dokupywał wciąż morgi, jeden za drugim, aż tych morgów urodzajnej nadwiślańskiej ziemi skomasował w swym posiadaniu coś ze sto. Bogacz! Miał tylko dwoje dzieci, córkę i młodszego od niej o jakieś dziesięć lat syna. Córka miała przejąć ojcowskie gospodarstwo. Została starą panną. Syna kształcił stary Gofron w szkołach i nie szczędził pieniędzy na jego jak najstaranniejsze wychowanie. Zaspokajał przy tym

wszystkie jego zachcianki. Bartuś po skończeniu gimnazjum kształcił się zrazu na Uniwersytecie Jagiellońskim, a z kolei w Heidelbergu studiował hellenistykę i filozofię i z tych przedmiotów uzyskał doktorat. Po ukończeniu tych studiów objął posadę nauczyciela w gimnazjum w Bochni. Swoim zewnętrznym wyglądem, strojami i manierami odbijał od nas wszystkich jaskrawo. Był to mężczyzna bardzo przystojny, a jego ubrania były szyte przez najlepszych krakowskich krawców, tylko z angielskich materiałów. Bieliznę nosił jedwabną i miał kolekcję przepysznych krawatów. Brylantowy pierścień na palcu i śliczna laseczka dopełniały stroju. Miał pięknego dużego psa z góry św. Bernarda, który na przechadzkach był zawsze

przy nim. Młody lord! Jedno go tylko trapiło wielce, że *Rodzi-ce* — jak mówił z goryczą — *nie umieli innego imienia w kalendarzu znaleźć, tylko Bartuś* (św. Bartłomiej

był patronem kościoła szczurowskiego). Od czegoż jednak bierzmowanie! Gofron obrał sobie przy bierzmowaniu imię Juliusz i odtąd podpisywał się stale — Juliusz B. Gofron a później Dr Juliusz B. Gofron. Poza pewnym snobizmem był to jednak porządny, i bardzo dobry i miły człowiek.

Bywał u nas gościem niemal codziennym. Grywaliśmy w szachy, rozmawialiśmy o rzeczach pięknych. Swoją filologią klasyczną i wiadomościami filozoficznymi nie zwykł się był popisywać, choć raz wygłosił nawet publiczny odczyt o filozofii Schopenhauera, którym się poprzednio najwięcej zajmował. Nie przejmował się też zbytnio swoimi obowiązkami nauczycielskimi. Starał się być w jak najlepszej zgodzie ze swoimi uczniami, unikał wszelkich zatargów i z nimi i kolegami. Był uprzejmy i wszyscy go lubili.

Minęła trzydziestka i wypadało się już ożenić, ale Gofron nie był młodzieńcem nazbyt kochliwym. Miłe spojrzenia i rumieniaszki pięknych pańien nie zdawały się wywierać na nim jakichś silniejszych wrażeń. Był zresztą człowiekiem praktycznym. Ogłosił w gazetach anons, że Dr. Juliusz B. Gofron poszukuje małżonki.. Krótko i zwięzłe były w nim wyliczone postulaty. Panna miała być przystojną blondyną — czyli duże — piękne włosy — zamożna. Warunek konieczny, żeby umiała po francusku. Pierwszeństwo oddawał pannie, która się wychowywała w jakimś francuskim pensjonacie. Fotografie pożądanego. W rezultacie przez jakieś dwa czy trzy tygodnie nadchodziły pocztą zgłoszenia kandydatek. Pokazywał nam te fotografie, ale każdej z tych pańien coś brakowało i trudno się było zdecydować. Wreszcie nadeszło zgłoszenie ze Lwowa. Kandydatka ma lat dwadzieścia, jest przystojną blondynką, wychowywała się w pensjonacie francuskim w Genewie -i — co się okazało bardzo ważne — była jedynaczką, córką właścicielki wielkiego hotelu we Lwowie. Więc chyba ta. Pojechał Gofron do Lwowa. Oględziny wypadły pozytywnie. Zaręczyli się i za dwa miesiące miał się odbyć ich ślub.

Mieszkanie na przywitanie żony trzeba oczywiście odpowiednio urządzić, więc znowu idzie do gazet anons, Dr Juliusz B. Gofron kupuje perskie dywany, dzieła mistrzów malarstwa, brzozy i miniatury. I znowu przez jakiś czas przynajmniej raz na dzień zjeżdżali do Bochni krakowscy handlarze — Żydzi ze zwojami dywanów na ramionach, obrazami mistrzów pod pachą i walizkami z bronzami i miniaturami. Gofron to wszystko kupował, a ponieważ na sztuce znał się niewiele, więc obok rzeczy naprawdę cennych, nabył także daleko więcej przedmiotów bezwartościowych. Bądź co bądź znalazło się w jego zbiorze osiem czy dziesięć starych dywanów perskich, a między obrazami kilka dobrych prac Fałata i Wyczółkowskiego. „Macierzyństwo” Wyspiańskiego i duży, niewykończony autoportret Jacka Malczewskiego. Nie liczę już bronzów i miniatur. Było tego wszystkiego aż nadto dużo, jak na przyozdobienie ścian dwupokojowego mieszkania.

Nadszedł wreszcie dzień ślubu i wiedzieliśmy, kiedy państwo młodzi zjadą do Bochnia. Ingres dokonał się w jakiś pogodny, słoneczny dzień, a było to może w sierpnia czy wrześniu. W tym samym jeszcze dniu pod wieczór kilku nas wybrało się do Państwa Gofronów, ażeby Pani złożyć nasze homagia. Przywitała nas pulchna blondyna o dużych niebieskich oczach. Jasne, utlenione skręty włosów spadały jej na czoło i oczy. Na

twarzy malował się uprzejmy, nieco zgrymaszony uśmiech. W dwóch usztywnionych paluszkach trzymała palącego się papierosa. Była ubrana w bajeczny szlafrok w kolorze spalonego złota i złotymi koronkami obszyty. Szlafrok był przepasany paskiem, ale zgodnie z jakąś panującą wtedy modą grecką był on z jednego boku rozcięty, tak że przy każdym umiejętnym ruchu nóg rozchodziły się jego poły i oczom widza ukazywały się przecudowne bufiaste hajdawery w kolorze lilla, złotymi koronkami przyozdobione. Okazało się z czasem, że takich różnokolorowych szlafroków i ślicznych majtasów fioletowych, purpurowych i żółtych ma pani Gofronowa całą kolekcję. Była czcicielką mody i lubowała się zwłaszcza w jej najskrajniejszych formach. Niezbyt się to wszystko podobało bocheńskim paniom, których stroje nie bardzo nadążały za zmieniającą się raz po raz modą. Bliższych stosunków towarzyskich Gofronowie nie utrzymywali jednak z nikim, on sam odwiedzał nas jednak dosyć często.



Gra w szachy na balkonie u Fischerów. Od lewej Janina Fischerowa, Stanisław Fischer, Juliusz B. Gofron.

Zwiedzili się malarze krakowscy, że jest w Bochni taki zamożny profesor, który skupuje zawzięcie obrazy. Zaczęli zjeżdżać z wizytami i przedkładać Gofronowi swoje oferty. Należał do nich Zbigniew Pronaszko, karykaturzysta Sichulski, marynista Jaksa i inni. Gofron nabywał to, co przywieźli, a ponad to zamawiał obrazy dalsze. U Pronaszki zamówił duży portret Wincentego Witosa. Był z tej roboty bardzo rad. „*Popatrz pan, jak tu te buty wymalowane! Jak się świecą? Przepyszne!*” U Sichulskiego nabył dużą kolekcję owych słynnych obrazowych karykatur ówczesnych naszych znakomitości i zamówił sobie wszystkie dalsze. Jakse, o którym wówczas mało kto wiedział, właściwie Gofron a nie kto inny wprowadził w szereg malarzy modnych.

Zasłyszał o kolekcjonerstwie Gofronowym Feliks Jasieński, głośny autor książki pod tytułem „Manggha” i sam wielki kolekcjoner dzieł sztuki i okazów przemysłu artystycznego. Zjechał do Bochni raz i drugi i swoim zwyczajem zaproponował koledze-zbierczowi wymianę pewnych obiektów. Gofron przyjął propozycję i rozpoczął się między nimi handel zamienny, ale partnerzy w tej grze byli mocno nierówni. Jasieński był pierwszorzędnym znawcą sztuki, czego o Gofronie powiedzieć nie można, i miał znacznie większe zdolności handlowe. W rezultacie niknęły kolejno ze zbiorów Gofrona obrazy Wyczółkowskiego, potem Fałata, a zdaje się, że i „Macierzyństwo” Wyspiańskiego również drogą tych zamian

przeszło w posiadanie Jasińskiego, Gofronowi natomiast dostały się w tej transakcji dwa czy trzy ludowe kilimy, których wartość artystyczną Jasiński świetnie umiał zachwalać i kilka czy nawet kilkanaście obrazów malarzy drugorzędnych.

Jednego razu zaproponował mi Gofron, ażeby się z nim razem wybrał do Krakowa z wizytą do Jasińskiego. Propozycję tę przyjąłem z przyjemnością, bo tego wybitnego człowieka warto było przecież poznać. Jasiński mieszkał wtedy w rynku u wejścia do ulicy św. Jana. Zajmował całe pierwsze piętro a mieszkanie to było jednym wielkim magazynem dzieł sztuki, mebli zabytkowych i skrzyń, poprzez które tu i ówdzie trudno się było precyzować. Trafiliśmy o tyle źle, że Jasiński właśnie pozował Grotowi do portretu, ale posiedzenie zbliżało się już do końca. Prosił żebyśmy chwilę usiedli i zaczekali. Nie mieliśmy nic przeciw temu. Po odejściu Grota zaraz przyszedł. Zaczęła się rozmowa, jak między dobrymi znajomymi, prawie serdeczna, ale zaraz przypomniał sobie Jasiński, że może można by jakiś interes na poczekaniu zrobić. Wybiega do sąsiedniego pokoju i przynosi ciężki rulon kilimów bułgarskich. Ich powtarzające się częściej wzory zdawały się mówić, że to był towar widocznie przeznaczony na jakiś handel. Rozwija i z wielkim talentem zachwala artystyczne walory tych tkanin. *O! Ten kilim i ten powinien sobie Pan kupić. To jak gdyby zrobione specjalnie dla Pana.* Gofron się jakoś wahał, wreszcie nabrał odwagi i orzekł, że mu się te kilimy nie podobają i że ich nie kupi. Jasiński odsuwa je na bok i niespodzianie zapytuje: *A może by Pan kupił buciki? Mam do sprzedania doskonałe, nowe. Pierwsza klasa!* I nie czekając na odpowiedź Gofrona, wyciąga te buty parasolem spod kanapy, *Proszę przymierzyć.* Było mi ogromnie niemiło, że mój kolega wziął to wszystko za bardzo dobrą monetę, bo ściga bucik ze swojej nogi i wdziewa to jakieś ogromne bucisko. Na szczęście okazało się, że jest ono na jego nogę za duże. *No to szkoda!* — powiedział Jasiński i z powrotem wepchnął buty pod kanapę.

Gofronowi zamajaczyła w oczach rola jakiegoś koryfeusza kultury i sztuki. Na rozwinięcie wymarzonej akcji Bochnia była jednak terenem zanadto małym i skromnym. Ciągnął Gofrona Kraków a jego żonę oczywiście jeszcze więcej. Być może, że zachęcali go do zmiany miejsca pobytu także krakowscy malarze, bo kiedy Gofron istotnie postarał się o posadę nauczycielską w Krakowie i tam osiadł, zaraz obsiadła go grupa młodych artystów ze Zbigniewem Pronaszką i Chwistkiem na czele. Jego mieszkanie przy ulicy Jabłonowskich stało się miejscem malarskich zebrań, w których zresztą brała udział także grupa młodych literatów. Jednym z owoców zebrań i narad było założenie przez Gofrona nowego pisma artystyczno-literackiego, mającego służyć nowym prądom. Pismo to miało tytuł „Maski” i wychodziło przez dwa lata. W zakresie sztuk plastycznych była to przez ten krótki czas główna ostoja rodzącego się futuryzmu a potem kubizmu. Kontakty tych wszystkich młodych artystów z Gofronem nie miały oczywiście tylko jakiegoś idealnego i ideowego charakteru. Transakcje handlowo — artystyczne dokonywały się dalej, wciąż.

Przez jakiś czas głównym jego dostawcą dzieł sztuki był Sichulski. Gofron nabywał stale jego wielkie obrazowe karykatury i nabierało się tego ze 150 sztuk. Były to doskonałe wizerunki naszych działaczy politycznych, przede wszystkim tych najgłośniejszych, pisarzy, plastyków, aktorów teatralnych, podkreślające w sposób dowcipny a niekiedy bardzo złośliwy ich charakterystyczne rysy, miny, gesty, przywary i śmieszności.

Miało się niekiedy wrażenie, że twórca tych karykatur wprost znęca się nad swoimi ofiarami, a niekiedy wietrzyło się w tych robotach trochę szantażu. Głośna była wtedy np. sprawa hrabiego Wodzickiego z Kościelca, który toczył proces z Rządem pruskim o spadek po wymierających wtedy Sułkowskich, panów ordynacji rydzynskiej. W ustawie zatwierdzającej tę Ordynację jeszcze w czasach Stanisława Augusta, było zaznaczone oświadczenie Sułkowskich, że na wypadek wymarcia ich rodu cały ten olbrzymi majątek przejdzie w posiadanie Polskiej Komisji Edukacyjnej. W wyniku rozbioru Polski Rydzyna znalazła się w obrębie zaboru pruskiego. Skoro Komisja Edukacyjna przestała istnieć pruskie ministerstwo oświaty uznało siebie za prawowitego spadkobiercę Sułkowskich. Szereg polskich rodzin magnackich zgłosił jednak jakieś swoje prawa do tego spadku. Znalazła się między nimi także rodzina Wodzickich w osobie Ekscellencji z Kościelca. Sądy pruskie odrzuciły pretensje innych arystokratów polskich, jako nie mające podstaw prawnych, natomiast żądania Wodzickiego widocznie taką podstawę miały, bo władze pruskie weszły z nim w pertraktacje, których finałem było to, że Wodzicki za dwa miliony marek zrzekł się wszelkich swoich praw do spadku po Sułkowskich. Kiedy to doszło do publicznej wiadomości, rozpoczęła się u nas formalna nagonka na Wodzickiego.

Piętnowano go jako sprzedawczyka, a Sichulski namalował wspaniałą karykaturę tego rzekomego winowajcy. Był to wizerunek starszego pana o pięknej głowie i inteligentnych rysach twarzy, z wyrazem jakiegoś wielkopańskiego grymasu w ustach. Ubrany był w czarny tużurek, na który narzucona była wspaniała szlachecka delia, ale ta delia zsuwa ma się z ramienia tak, że jej dolna część jest w błocie. Prawą rękę, zakończoną suchymi palcami przypominającymi szpony drapieżnego ptaka, wyciąga stary pan w dół ku pękatomu workowi, na którym czarnymi znakami wypisana cyfra 2000000 marek. W tle obrazu widniała sylweta rydzynskiego zamku. W zamek pioruny biją a na boku anioł zamku siedzi i płacze.

Kiedy Gofron wspólnie z Sichulskim urządzili wspólnie zbiorową wystawę tych wszystkich karykatur a wystawę tę rozmieszczono w kamienicy Szolańskich przy ul. Szczepańskiej, karykatura Wodzickiego zawisała na honorowym miejscu w narożniku sali, tak, że każdemu zwiedzającemu wystawę musiała zaraz wpaść w oko. Napływ zwiedzających był bardzo duży, a znalazła się wśród nich także zamężna córka Ekscellencji, Szukające spojrzenie rzuciła na ściany sali i zatrzymała je na karykaturze ojca, o której już widocznie słyszała. Zbliżyła się do kasjerki z oświadczeniem, że chce tę karykaturę kupić, *Ile kosztuje?* Odpowiedź: *Sześćset koron., To drogo — mówi gość, ale płaci i żąda natychmiastowego zapakowania obrazu. Przepraszam Panią, ale obraz może być zabrany dopiero po zwinięciu wystawy. Ależ ja kupuję z tym, że karykaturę zabieram od razu., W takim razie musi Pani zapłacić tysiąc koron.* Skrzywiła się pani hrabina, ale dopłaciła jeszcze 400 koron i obraz zabrała. Wysoki, jak na owe czasy wydatek wynagradzało jej niezawodnie zadowolenie, że usunęła sprzed oczu ludzkich złośliwą karykaturę ojca, Aliści Gofron z miejsca zamówił sobie u artysty jej replikę. Nie zawieszono jej już wprawdzie na wystawie krakowskiej, ale pokazano publiczności na urządzonych z kolei wystawie lwowskiej. Zdarzyło się, że i tę wystawę zwiedziła córka Ekscellencji i z przerażeniem zobaczyła drugą karykaturę ojca, taką samą jak tamta. Podchodzi do obecnego na wystawie Sichulskiego i mówi mu tak:

Proszę Pana! Czy się to godzi? Wykupiłam karykaturę ojca, a Pan jej replikę znowu wystawia. To nieładnie! Na to słyszy odpowiedź: Muszę sprostować. Pani nic sobie nie wykupiła. Kupiła sobie Pani jeden obraz i może sobie Pani kupić, jeżeli chce i ten drugi. Opowiadał mi to wszystko sam Gofron.

Miał on poza rolą mecenasa sztuki także inne jeszcze aspiracje. Nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy za czyjąś namową, postanowił założyć prywatne gimnazjum klasyczne w Zakopanem. Pomysł ten istotnie wprowadził w czyn, pomimo znacznych przeszkód ze strony ówczesnych władz szkolnych i ogromnych nakładów pieniężnych, jakich to przedsięwzięcie wymagało. Nie znam bliżej losów tej jego szkoły, poza tym, że już po roku czy dwóch w miejscu gimnazjum prywatnego rozpoczęło swój byt gimnazjum państwowe, oczywiście już pod innym kierownictwem.

Przeżycia Gofrona w ostatnich latach życia – a koniec zbliżał się niespodziewanie szybko – nie bardzo były pogodne. I w domu były jakieś nieporozumienia i zatargi i zdrowie jego było bardzo zachwiane. Miał dwoje dzieci – syna i córkę. Sam

nie miał czasu zająć się pilniej ich wychowaniem, a żona widocznie nie bardzo się przejmowała jakimiś macierzyńskimi obowiązkami. Zdaje się świadczyć o tym to, że jednego razu oświadczył mnie i mojej żonie, że ma zamiar prosić nas, abyśmy jego syna przyjęli na wychowanie. Nie bardzo nam to odpowiadało, ale nie posłyszał od nas żadnego „nie”. Byliśmy jednak bardziej radzi, że przynajmniej na razie był to tylko jego „zamiar”, a jeszcze bardziej radzi, że skonkretyzowanej prośby ani wtedy, ani później już nie powtórzył. Cierpiał na strumę – poddał się operacji i to było początkiem jego końca. Syn skończył z czasem medycynę i został lekarzem. Córka po skończeniu jakiejś szkoły handlowej wróciła do rodzinnej wsi Gofronów pod opiekuńcze skrzydła swojej ciotki. Tam wyszła za mąż za chłopca i weszła w dziadkowskie gospodarstwo.

O Gofronie i jego losach nie mogę myśleć bez jakiegoś wzruszenia.

(Artykuł Stanisława Fischera pochodzi z odnalezionych w sierpniu b.r. wspomnień Profesora)

Wanda Stankiewicz (Świdnica)

Adam Rydz. Poeta-marynarz z Bochni

Mój brat Adam zdał maturę w gimnazjum w Bochni w roku 1934. Całe życie marzył by zostać marynarzem i dokonał tego przy łacie szczęścia, jako jeden z niewielu bochnian. Zawsze miał głowę pełną pomysłów. W siódmej klasie gimnazjum wystawił sztukę p.t. „Kościusko pod Racławicami”, aby w ten sposób zdobyte pieniądze przeznaczyć na budujący się kościół „gimnazjalny”. Jak postanowił tak zrobił. Sztuka miała niebywale powodzenie, grana była kilkakrotnie w Bochni i w Brzesku a najlepszą rolę zagrała mistrzowsko pani Antonina Kucówna – Maniakowa, która oczarowała publiczność.

Po maturze Adam postanowił ruszyć w świat. Ks. prof. Bogacz opiekun Bursy z żalem go zegnał słowami: *Adasiu kto mi teraz będzie śpiewał nieszpory, kto gorzkie żale....* Adam naprawdę bardzo ładnie śpiewał, a słuch miał niespotykany. W głowie miał pomysły o pływaniu po morzach i oceanach, ale najpierw musiał odbyć służbę wojskową w CKM Zambrów. Po odbyciu służby wojskowej w czasie której nie zbywało mu na różnych figlach i żartach wrócił jednak do domu.

Co dalej robić? Jak zostać marynarzem? Za studia w Szkole morskiej trzeba było płacić, na co rodziców nie było stać. Pewnego razu nasz wspólny kolega gimnazjalny W. Rutkowski wpadł na pomysł, aby Adaś napisał list do Inspektoratu Sił Zbrojnych w Warszawie. List był wzruszający oparty na fundamentach poezji, patriotyzmu i pełny miłości do naszego morza. I odniósł

on skutek. Adam dostał skierowanie na badania psychotechniczne, które wypadły znakomicie. Po odpowiednim przeszkoleniu dostał skierowanie na statek M/S Batory w charakterze oficera gospodarczego. Dom rodziców pękał z radości tak bardzo cieszyliśmy się, że Adaś dopiął swego. Pływał na liniach transoceanicznych na linii Gdynia –

New Jork na M/S Batory, a następnie na S/S Polonia na trasie Konstanca (Rumunia) — Hajfa (Izrael), Bejrut — Tel-Awiw, Jaffa — Pireus. Z każdego portu pisał kartki i wiedzieliśmy gdzie jest i co zwiedzał. Przeżył niejedną sztorm na morzu. W czasie rejsu do Ameryki szalała sztorm tak, że kominami wlewała się woda.

Na początku 1939 roku po licznych namowach z różnych stron zmienił z bólem serca pracę na jeszcze trudniejszą w służbie wywiadu – w Wydziale V. Znał doskonale język niemiecki, angielski często jako kurier był w Wrocławiu i Gliwicach. Zatrudniony fikcyjnie, zamieszkał w Katowicach, aż do wybuchu II wojny światowej. Zmobilizowany walczył o Polskę i dostał się do niewoli niemieckiej. Przejeżdżając przez Bochnię krzyczał swoje nazwisko z prośbą o powiadomienie rodziców, że

żyje. Owszem, ktoś dał znać ojcu o bracie. W niewoli był do końca wojny. Ale nadal siedział w nim niespokojny duch. Organizował ucieczki, niestety nieudane. Na pytanie któregoś z kolegów, czy gdyby się po raz drugi urodził to czy wybrał by spokojniejszy zawód od marynarza odpowiedział: *Nigdy!*



Adam Rydz drugi z prawej.

Chciałbym umrzeć słuchając szumu fal, rozbijających się o kesony, ryku sztormu, pisku mew.

Inny z współtowarzyszy jenieckiej niewoli, gdy kiedyś spostrzegł, że Adam siedzi zapatrzony w jeden punkt pytał: *Adasiu, gdzie jesteś? Gdzie?* – odpowiedział Adam — *nad cudownym jeziorem Como we Włoszech.* A oto wiersz Adama Rydza „Como”, jedyna pamiątka po tym niespokojnym duchu jakim był mój brat.

„Como”

*Słońce wybuchło nagle nad koroną lodowych szmaragdów,
Noc spłonęła oczarowaniem,
I w omdleniu zasnęła w jeziorze.
Perlisy naszyjnik z neonów zamknął swe kuszące pąki,
A dzień spowity w tiulu disneyowskich mgieł -
Ubarwił świat niebylejaki.
I stała się ulewa niepocztyalna kwiatów,
Zieleni i pini wysokich,
Rozkotysał się dzień na jeziorze gładkim,
Jako ta rozgwiazda, udziwnionym alpejskim dętym,
Ludzie i posągi wpatrzeni w toń zwierciadła milczą,
Milczeniem rozgadanych kamieni
Białe jednoskrzydłe łodzie niosą bukiety nadziei
Na spotkanie radosnej nuty.
Jezioro łabędzie, karoca winna pachnąca uwielbieniem,
Zakątek uwodziciel,
w którym radość zamieniają w ból.*

Skazany już raz na obóz karny za próbę ucieczki z obozu stanął przed Niemieckim Sądem Najwyższym w Legnicy i otrzymał wyrok śmierci. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pojawił się tam dostojnik niemiecki z Kriegsmarine (niemiecka marynarka wojenna), który uratował mu życie. Zainteresował się wyrokiem, jaki otrzymał polski marynarz, przyszedł do jego celi i kiedy dowiedział się, że Adam Rydz dostał wyrok śmierci za próbę ucieczki z obozu jenieckiego powiedział: *Ten człowiek jest niewinny. Ja także to samo zrobiłbym w tej sytuacji.* Podjął staranie u odnośnych władz i wyrok śmierci został zamieniony na karny pobyt w Sowich Górach w fortach pruskich koło Dzierżoniowa. Brat wspominał po wojnie „Gdybym tego człowieka spotkał wszystko oddałbym za niego. Znalazł się jednak bochnianin, który napisał anonimowy donos na brata do Gestapo, że brat



Przed jachtem króla greckiego Nimet-Alcah w Pireusie (A. Rydz pierwszy z lewej).

uciekł z niewoli i jest szpiegiem na rzecz Anglii, ukrywa się w domu, co oczywiście było nieprawdą. Dowiedzieliśmy się o tym donosie od naszego wujka, który rozumiał dokładnie po nie miecku i słyszał jak o Adamie rozmawiali ze sobą gestapowcy. Nie tylko, że śmiali się z głupoty Polaków, ale wyzywali od polskich świni tego, który napisał anonim.

Potem, po odbyciu kary w Sowich Górach, Adam nocą wywieziony został do oflagu i pozostawał tam do końca wojny organizując liczne przedstawienia dające dochód dla jeńców. Pamiętam, że przybywał w oflagach: Colditz, Lubeck oraz oflag IV C 2, oflag IV C 10. Te ostatnie to były chyba w pierwszych latach niewoli, bo miejscowości były utajnione. Adam w oflagach starał się rozśmieszać swoich kolegów różnymi opowiadaniem, aby rozładować nostalgię i stresi, jakie ustawicznie dotykały jeńców, szczególnie gdy doczytali się w listach od rodziny coś przykrego.

Tymczasem Niemcy zaczęli ponosić porażki. Systematycznie cofali się. Amerykanie są już blisko. Niestety w obozie zapanował straszliwy głód. Brat mój po radzie z kolegami i przy ich pomocy zdobył mundur niemiecki, motor i jako Niemiec wyjechał bramą obozową. Dotarł do Amerykanów. Nie uwierzyli, że jest z obozu, bo dobrze wyglądał jak Niemiec. Dopiero potem okazało się, że ten dobry wygląd wynikał z głodowej opuchlizny. Po usilnych prośbach ruszyli we wskazanym przez brata kierunku. Ocaleni koledzy potwierdzili tożsamość brata i jego heroiczny wyczyn.

Zasadniczo wojna jest już skończona, ale nie dla Adama. Przedostał się do Armii Andersa, a potem do Anglii. Docierają do nas listy, w których pyta czy może wrócić do Polski, bez której jest mu trudno żyć na obczyźnie. Gdybyśmy wiedzieli, że po powrocie będzie aresztowany, odradzilibyśmy powrót. Wrócił jak wielu innych oficerów w 1947 roku. Z powrotem zaczął pływać na M/S Batorym. Po którymś z kolei rejsie, po zejściu na ląd został razem z kolegą aresztowany. Skuty jak zbrodniarz umieszczony został w więzieniu. Główny powód aresztowania to służba we Włoszech w Armii generała Andersa. Zrehabilitowany wrócił na morze, niestety zachorował na chorobę skórą na tle nerwowym i nie mógł już więcej pływać. Po 26 latach choroby umarł w wieku 77 lat w Gdańsku. Żył z wielkim bólem i żalem, że nie ma tej prawdziwej, wymarzonej Polski, z orłem z koroną na głowie, dla której cierpiał i walczył.

Ostatni jego wiersz napisany w Gdańsku 6 kwietnia 1970 roku to „Westchnienia pożegnań”:

*Jezioro to miasto głębokie o kamiennym sercu,
Miasto to jezioro nieustające.
Bliskie rozdzwonienia blaskiem swych kościołów,
Kipi i przelewa się, płacze i śmieje.
I zapala woski dziękczynne przed Madonną Wiekuistą,
Aleksander Volte śledzi w cieniu Brunate
Napięcia mózgów człowieczych,
Idący na spotkanie z niepewnością,
Lago di Como, citta a di Como
Twory jednego Boga i człowieka,
Akordy najtrwalsze dawniej i dzisiaj,
Wielka symfonia pastoralna, która nie istnieje,
Mój świat, maty i wielki, czeka na wyrok Hamleta...*

Józef Mączka

Nowa publikacja o Uściu Solnym

Niedawno ukazał się przewodnik po cmentarzu parafialnym w Uściu Solnym pióra ks Jana Wilka, autora wydanej w 1997 roku monografii tej miejscowości oraz przewodnika po kościele uścieńskim (1999 r.). Autor przybliży dzieje pochówków i grzebalnictwa od czasów niemal prehistorycznych, ale głównie przekazuje nam kompendium wiedzy o mieście i ludziach tu żyjących na przestrzeni ostatnich 200 lat. Owocem jego benedyktyńskiej pracy jest zgromadzenie ponad 600 not biograficznych ludzi żyjących i pracujących w różnorodny sposób na rzecz tej małej społeczności uścieńskiej i pochowanych na miejscowym cmentarzu. Autor powołuje się na przekazy ustne, ale weryfikuje je ze starymi zapisami w kronikach parafialnej, cechowej i strażackiej co podnosi wartość opracowania i jego wiarygodność, tym bardziej, że Autor idzie dalej i

wykorzystuje w opracowaniu archiwalia diecezjalne, powiatowej i wojewódzkie.

Tak szerokie spojrzenie na społeczeństwo Uścia Solnego zasługuje na duże uznanie, bowiem wskazuje drogę do dalszych poszukiwań naukowych. Trzeba też dostrzec w pracy wątek metafizyczny, wartość pracy ludzkiej i inne wartości, które świadczą o formacie człowieka. Zamknięciem tego wątku jest konkluzja że cmentarz jest „ziemią świętą, godną wielkiego szacunku”. Sugestywność opracowania przyciąga uwagę Czytelnika.

Wysiłek wydawniczy zasługuje na uznanie i chciałbym wyrazić przekonanie, że praca ks. Jana Wilka znajdzie licznych nabywców, że trafi do bibliotek publicznych, szkolnych i kościelnych.

Mieczysław Rosiek

Michał Więckowski nie żyje

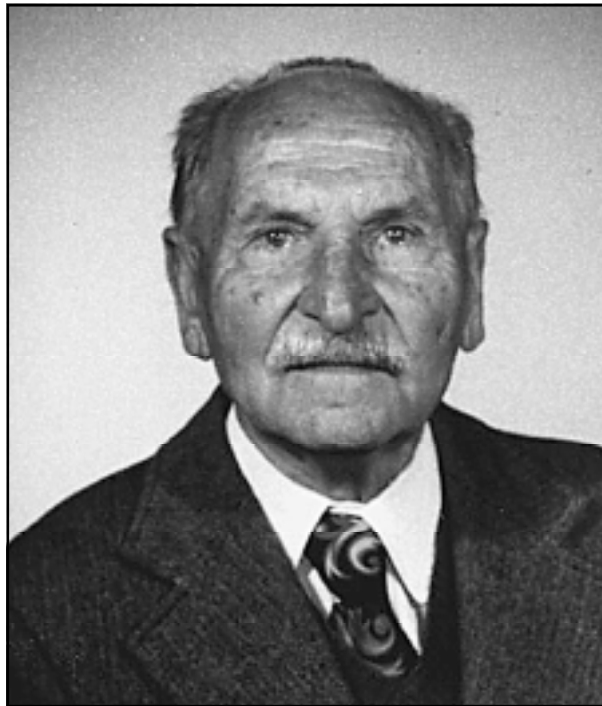
Pisaliśmy o nim wielokrotnie, a i on przysyłał nam swoje artykuły, które drukowaliśmy w „Wiadomościach Bocheńskich”. Po naszej aksamitnej rewolucji w 1989 roku przyjeżdżał do Polski zaglądając zawsze też do naszego Stowarzyszenia. Od roku 2000 nie pokazał się i po paru miesiącach dowiedzieliśmy się tylko, że zmarł w Buenos Aires w dniu 8 grudnia 2000 roku. Z początkiem sierpnia b.r. zawiadomiono nas, że pogrzeb odbędzie się 11 sierpnia b.r. w Królówce, skąd pochodził i gdzie mieszka jego dalsza rodzina. Trzeba przypomnieć, że w 1993 roku zmarła jego żona i prochy na jej życzenie przywiózł mąż do Polski. A teraz trumienkę z jego prochami przywozła z Argentyny do Polski jego córka z wnuczką i po śmierci będą obok siebie tak jak to było przez 56 lat wspólnego życia.

Na pogrzeb prócz licznej rodziny i królewaków przybyła delegacja Stronnictwa Narodowego i przedstawiciele i koleżdy z Armii Krajowej oraz naszego Stowarzyszenia. Najpierw udaliśmy się do kościoła na mszę świętą w czasie której ksiądz wygłosił piękne kazanie przypominając, że zmarły zawsze był wierny swojej religii, narodowi polskiemu a patriotyzm kultywował przez całe życie i tam daleko

na obczyźnie wpoił go swoim dzieciom. Po mszy przeszliśmy na cmentarz do grobu w którym już były prochy jego żony Kazimiery.

Teraz przemawiali delegaci, starzy członkowie A.K. którzy z nim działali w konspiracji w czasie wojny, utrzymywali łączność w czasach PRL-u i spotykali się po roku 1989 już w wolnej Polsce. Wszyscy stwierdzili, że był człowiekiem wybitnym, odważnym, myślącym naprzód, który wiele dokonał dla emigracji polskiej zwłaszcza latynoamerykańskiej. I ja powiedziałem w imieniu swoim własnym i Stowarzyszenia Bochniaków parę słów, bo był to mój kolega z bocheńskiego Gimnazjum, razem zdaliśmy maturę w 1932 roku a surowe obyczaje w tej szkole miały wpływ na całe nasze życie. Delegacja nasza w skład której wchodził prof. dr hab. Stanisław Pachuta, prezes Stanisław Kobiela, Bolesław Wnęk i Barbara Rosiek złożyła na grobie wieniec od naszego Stowarzyszenia.

Po krótkiej relacji z pogrzebu przypomnę więcej także bardziej osobistych i mnie znanych wydarzeń z jego bogatego życia. Takim być jak on – to wielka sztuka. Po maturze w 1932 roku nasze drogi się rozeszły. Michał studiował prawo na UJ w Krakowie, a ja



na Politechnice we Lwowie. Już wtedy zaangażował się politycznie jako członek Młodzieży Wszechpolskiej. Po studiach rozpoczął pracę w Centralnej Kasie Spółek Rolniczych w Sandomierzu, angażując się także w sprawy polityczne prowadzone przez Stronnictwo Narodowe. W 1938 roku ożenił się z panną Kazimierą Wałęga z Borysławia, której stryj był biskupem w Tarnowie. Zmobilizowany w 1939 roku, dostał się do niewoli niemieckiej, z której uciekł i wrócił do Sandomierza. Już w listopadzie 1939 roku zorganizował w Sandomierzu Narodową Organizację Wojskową (NOW), której został komendantem powiatowym. Po akcji scaleniowej i powstaniu Armii Krajowej został działaczem AK, a w jego 5 letniej konspiracji nie było żadnej wpadki.

W miarę posuwania się sowietów na przełomie lat 1944/45 i penetrowania terenu przez Urząd Bezpieczeństwa grunt zaczął palić się mu pod nogami. To zmusiło Więckowskiego do ucieczki z Sandomierza do Szczecina. Nie mógł od razu zabrać żony i dwoje małych dzieci (ur. 1942 i 1944) z Królówki. Podjął pracę w Państwowej Centrali Handlowej w Szczecinie (1945-1946). Jednak i w Szczecinie wytropiło go NKWD, z rąk którego w ostatniej chwili udało mu się wyrwać. Ze sfalszowanymi papierami jako „przesiedleńca” dostał się na terenie Niemiec do brytyjskiej strefy okupacyjnej w którym stacjonowała Polska Dywizja Pancerna.

Po długich staraniach w 1947 roku sprowadził tam swoją rodzinę i zaczął szukać możliwości emigracyjnych. Szczęście mu sprzyjało, gdyż spotkał brata swojej matki Dymurę, który wyemigrował za chlebem do Argentyny w 1926 roku. Zgłosił się jako ochotnik do wspomnianej już polskiej dywizji pancerniej. Następnie stryj załatwił Michałowi możliwość emigracji do Argentyny i w ten sposób 16 października 1948 roku w wieku 36 lat wylądował on z rodziną w Buenos Aires. Rozpoczął nowe życie w całkiem innym świecie. Początek był trudny – nieznajomość języka hiszpańskiego pozwoliła mu jedynie na pracę fizyczną jako pomocnik murarski. Ale adaptacja postępowała szybko i życie rodziny ustabilizowało się gdy został księgowym w firmie importującej produkty chemiczne Ultra Sapa (przemysł naftowy) w Buenos Aires, następnie w innych firmach przemysłu naftowego (Astra Sapa (1952-1954) S.A. Nicolas van Haaren (1954-1979).

Nie odstępował go jednak duch społecznikowski i narodowy. Już od 1950 r. pracował w Harcerstwie Polskim w Związku Polaków, w Komitecie redakcyjnym „Głosu Polskiego” w Argentynie. Był współzałożycielem i członkiem zarządu Stowarzyszenia Rzemieślników i Pracowników Polskich w Argentynie (1948-1958) W 1961 r. założył Koło Młodzieży Polskiej w Buenos Aires. Niezwykle prężny organizator był jednocześnie osobą wpływową, magnesem przyciągającym do Związku Polaków w Argentynie nowych, wartościowych działaczy. W Związku Polaków w Argentynie pełnił funkcje skarbnika, członka zarządu, członka komisji rewizyjnej, a wreszcie funkcję przewodniczącego Rady Nadzorczej Związku. W listopadzie 1975 r. był delegatem tego Związku na konferencję „Polonia 75”, która odbywała się w Waszyngtonie i jako jedyny reprezentował środowiska polonijne z całej Ameryki Południowej. W maju 1978 roku

reprezentował Polonię Argentyńską na konferencji środowisk polonijnych z 20-tu krajów w Toronto (Kanada). Efektem tej właśnie konferencji było utworzenie Rady Koordynacyjnej Polonii Wolnego Świata. Więckowski utrzymywał kontakty z Polską za pośrednictwem KUL, nadsyłał referaty i sprawozdania na temat życia Polonii Latynoamerykańskiej.

Życie rodzinne szło jednak naprzód. Syn i córka dorosli, założyli rodziny i Michał doczekał się wnuków i prawnuków. Wszyscy mówią po polsku, mimo, że córka Anna Więckowska (farmaceutka) wyszła za mąż za Argentyńczyka i pracują społecznie w organizacjach polonijnych. Niestety nasz bohater przeżywał kolejne trudne chwile. Syn jego Wojciech (informatyk) nie widząc w Argentynie przyszłości dla siebie i dzieci wyemigrował w 1988 roku do Australii. Mimo tego w sierpniu 1991 roku wnuczka Weronika wówczas 22-letnia studentka architektury w Sydney, harcerka, przyjechała z 9 kolegami do Polski na Światowy Zjazd Młodzieży. Inna wnuczka po mężu Sierocińska mieszkająca w Kordobie (800 km od Buenos Aires) zorganizowała z nim polski zespół baletowy „Krakao”, który również był w Polsce na przeszkoleniu baletowym w Lublinie. W Argentynie mieszka ponad 100.000 Polaków więc w 1993 roku powstał w Buenos Aires (11 mln. mieszkańców) częściowo z inicjatywy Więckowskiego Instytut Polsko-Argentyński, który nawiązał kontakt z Centrum Studiów Latinoamerykańskich w Warszawie. W tymże roku był w Buenos Aires i sąsiednim Urugwaju Kongres Polonii Południowo-Amerykańskiej, w którym udział wziął z Polski przewodniczący organizacji „Wspólnota Polska” prof. Stelmachowski i był na nim również Michał Więckowski.

Więckowski był znakomitym publicystą. Swoje artykuły pełne błyskotliwej weny twórczej, niezwykle trafnych spostrzeżeń i jasnych, logicznych analiz wydawał w w Głosie Polskim (Buenos Aires) w Dzienniku Kijowskim (Kijów), w Ziemi Lidzkiej (Lida), w Radości Wiary (Drohobycz). Do końca życia udzielał wszechstronnej pomocy Polakom na kresach, w Rosji, Białorusi i na Ukrainie współpracując aktywnie w tej dziedzinie z Kościołem Katolickim.

Jak widać Michał niemal do ostatnich chwil pełen był życia i energii. Może Czytelników zaskoczyłem tym przydługim, chociaż i tak mocno skróconym opowiadaniem. Ale chodzi mi też o to, żeby w pogoni za życiem codziennym nie zapomnieć o dobrych obyczajach, wychowaniu rodzinnym, miłości ojczyzny – na co dzień bez bohaterstwa – i o tym wszystkim co się składa na dobre imię człowieka i Polaka.

Straciliśmy wielkiego patriotę, oddanego działacza narodowego i polonijnego, wypróbowanego naszego przyjaciela, a także obywatela świata. Zmarł, ale zazdrościć mu można ciekawego i wspaniałego życia.

Zasłużył na to żeby pochylić nad urną z jego prochami głowy i nigdy o nim nie zapomnieć.

(Mieczysław Rosiek jest długoletnim aktywnym działaczem Oddziału Śląskiego Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej i Towarzystwa Miłośników Wiśnicza)

Stanisław Gawor

Sobótki w Chełmie

W przepięknej imprezie uczestniczyli – i na długo ją zapamiętają – ci, którzy po południu 22 czerwca b.r. zawitali do nadrabskiego Chełmu. Najpierw była uroczysta „śpiewana” Msza Święta na wolnym powietrzu, na dziedzińcu sławnego tutejszego kościoła Bożogrobców, a w jej trakcie – sugestywne i pouczające wystąpienie dyrektora Jana Flaszę, uprzytomniające wszystkim obecnym potrzebę oraz kulturotwórczą i – by tak powiedzieć – tożsamościowotwórczą rolę muzeów regionalnych. Wystąpienie stało się, że Msza owa poprzedzała zapowiedziany wcześniej uroczysty akt otwarcia nowego, drugiego już lokalu tutejszego Muzeum Parafialnego w dawnej bramie na nieistniejącym dziś królewskim trakcie (pierwszy jego lokal otwarto już trzy lata temu w domu obok kościoła). Aktu tego dokonał – przy asyście proboszcza i inicjatora oraz spiritus movens Muzeum – nieocenionego ks. Antoniego Tworka – ks. Władysław Szczepan b. dyrektor tarnowskiego Muzeum Diecezjalnego. Miało to formę pięknie wykonanej melorecytacji, w której mądrych treściach zmieściło się to wszystko, o czym wcześniej – też ładnie i mądrze – mówił dyr. Flaszka.

Potem było oczywiście zwiedzanie zbiorów nowego muzeum (polecam) a jeszcze potem – na przykościelnej estradzie barwne, atrakcyjne widowisko, rodzaj „śpiewogry” przypominającej i prezentującej pogański obrzęd Sobótek, oczywiście z wykorzystaniem nieśmiertelnego tekstu Jana z Czarnolasu. Widowisko to przygotowała i zaprezentowała młodzież szkolna pod kierunkiem dyrektorki Szkoły Podstawowej w Siedlcu p. Emilii Leo. Rolę najważniejszego elementu scenografii widowiska grały...dziesiątki sobótkowych wianków — plon ogłoszonego w parafii konkursu, jaki właśnie został rozstrzygnięty. Za najładniejszy uznano wianek wykonany przez dzieci ze świetlicy wiejskiej w Moszczenicy. Wianki – no, może trochę mniej efektowne, niż te nagromadzone – mógł też za kilka złotych (cel

charytatywny) nabyć każdy, kto przybył na imprezę, sprzedawały je tutejsze dzieci. Gdy zapadł zmrok okazało się, że były bardzo potrzebne. Bo oto zaproszono wszystkich – a ludzi, miejscowych i gości, zebrało się sporo – do utworzenia korowodu, który z tymi właśnie wiankami i z płonącymi świeczkami, a także oczywiście z muzyką i śpiewem przeszedł kilkaset metrów, do brzegu Raby. A tu rozpalono olbrzymie ognisko (takie samo zapłonęło na przeciwległym brzegu rzeki, gdzie zebrał się mieszkańcy Targowiska) i przy już to smętnych, już to zadzierzystych dźwiękach kapeli rozpoczął się najważniejszy bodaj akt Sobótek: puszczanie przez dziewczęta wianków na wodę leniwie płynącej rzeki... Oczywiście – piski, chichoty, ale i bardzo uważne śledzenie, który tonie, który płynie i jak daleko...

A po kilkudziesięciu minutach – hałaśliwy powrót na górę, na dziedzińiec kościoła. W okalających drogę krzakach – roje świętojańskich robaczek. Już mało gdzie ich tyle. Na dziedzińcu kościoła najpierw kilkunastominutowe efektowne widowisko świetlne – pokaz ogni sztucznych – a potem już tylko tańce. Na dwu estradach, długo w noc, omal do rana...

Pogodne, wygwieżdżone niebo, wianki, muzyka, ogień – no i te świętojańskie robaczki – jedyne w swoim rodzaju tło jedyne w swoim rodzaju przeżycia. Gdyby nie straszliwe dudnienie gigantofonów – trochę się bałem, że ogłuchnę – można by ulec złudzeniu, że przeniesiono nas w czasie o te parę wieków wstecz.

Nowe bocheńskie czasopismo „Moja Bochnia i Powiat” w swym czerwcowym numerze opisaną tu imprezę potraktowało z dużą zgryźliwością. A to dlatego, że dopatrzyło się w niej elementu wyborczej kampanii kogoś tam, bo temu pismu wszystko się z wyborami kojarzy, jak w tej anegdotce o kapralu. Nie wiem, czy była to czyjaś kampania... wiem natomiast, że było to znakomicie pomyślane, zorganizowane i wykonane przedsięwzięcie kulturalne, a tego samego zdania była chyba większość jego uczestników, z moimi wymagającym gośćmi z Krakowa włącznie. Namawiałbym więc organizatorów — władze gminy Bochnia i Gminny Ośrodek Kultury w Łapczycy by imprezę w kolejną jakąś noc świętojańską jeszcze kiedyś powtórzyli. A może nawet urządzali ją corocznie?

Ks. Jan Kudelka

Męczennik sprawy narodowej i świadek wiary Ks. Józef Bardel (7.07.1884 – 22.08.1941)



Przygotowując Lud Boży na trzecie tysiąclecie chrześcijaństwa Ojciec Święty Jan Paweł II przypomniał, że XX wieku był wiekiem męczenników. *I to świadectwo nie może być zapomniane* – napisał w Liście Apostolskim „Tertio millennio adveniente” (nr 37). Na polskiej ziemi szczególnie obfite żniwo męczenników przyniosła Kościołowi II wojna światowa. W oktawę święta Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny 22 sierpnia 1941 roku

w Biegonicach koło Nowego Sącza rozstrzelali Niemcy 25 zakonników, a wśród nich trzech kapłanów: ks. Władysława Deszcza i ks. Tadeusza Kaczmarczyka wikariuszy parafii św. Małgorzaty w Nowym Sączu i ks. Józefa Bardla proboszcza w Trzetrzewiny, syna Ziemi Bocheńskiej.

Ks. Józef Bardel urodził się w Mikuszowicach jako szóste z kolei dziecko średniorolnych gospodarzy Franciszka i Mariany z domu Majta. Po ukończeniu miejscowej szkoły powszechnej został wysłany przez rodziców na dalszą naukę do gimnazjum w Bochni, które w tym czasie należało do najlepszych gimnazjów w Galicji. W roku 1905 Józef Bardel ukończył to gimnazjum egzaminem dojrzałości. Jako maturzysta wziął udział w pielgrzymce młodzieży polskiej do Rzymu, która prowadził

arcybiskup lwowski bł. Józef Bilczewski. Niewątpliwie ta pielgrzymka do Wiecznego Miasta, stolicy chrześcijaństwa wywarła wielki wpływ na młodego maturzystę. Być może miała wpływ na decyzję, którą podjął po powrocie z Rzymu, by wstąpić do Seminarium Duchownego Tarnowie.

Seminarium Duchowne w Tarnowie było przedmiotem szczególnej troski biskupa tarnowskiego Leona Wałęgi, który starannie dobierał przełożonych formujących przyszłość kapłanów. Zależało mu bowiem bardzo, aby mieć świętych kapłanów. Po czterech latach studiów teologicznych otrzymał Józef Bardel wraz ze swymi kolegami kursowymi święcenia kapłańskie z rąk biskupa Leona Wałęgi w dniu 29 czerwca 1909 roku.

Pierwszą jego placówką duszpasterską była parafia Gręboszów, w której od dwóch lat był proboszczem świętobliwym kapłan ks. Piotr Halak. Pod jego kierunkiem pracował i nabierał praktyki duszpasterskiej od 1 sierpnia 1909 r. do 31 lipca 1912 roku. Następnie pracował w podobnym charakterze wikariusza przy kościele parafialnym w Czchowie przy boku ks. Józefa Stopy. Widocznie zyskał znaczne zaufanie, skoro ks. biskup Wałęga zamianował go administratorem excurrento (czyli z dojazdu) w pobliskiej parafii Złota.

Obowiązki te spełniał od 15 marca 1912 roku do 15 sierpnia 1913 roku. Po dwuletniej pracy w Czchowie został przeniesiony do Tuchowa, gdzie pracował od dnia 1 sierpnia 1914 roku najpierw jako katecheta, a potem po śmierci proboszcza Ignacego Maciejowskiego, konsystorz biskupi tarnowski zamianował go administratorem parafii tuchowskiej do 26 marca 1915 roku. Z Tuchowa został przeniesiony na stanowisko wikariusza do Lisiej Góry i pracę tam rozpoczął od 1 kwietnia 1915 roku. Po śmierci ks. proboszcza Wojciecha Bryndzy mianowany został administra-

torem tej parafii i obowiązki te pełnił do 28 stycznia 1916 roku. Stąd przeniesiony do Poręby Radlnej pełnił obowiązki administratora do 21 marca 1917 roku, bowiem stamtąd został przeniesiony na ekspozyta w Trzetrzewinie (parafia Podegrodzie). Od chwili utworzenia tam parafii tj. od 10 maja 1925 r. ks. Józef Bardel został tam proboszczem i na tej funkcji pracował 24 lata. Wychował całe jedno pokolenie mieszkańców. Dzięki jego staraniom parafia zakupiła trzy dzwony, wymalował kościół i zaopatrzył go w sprzęty liturgiczne i organy. Założył cmentarz. Był gorliwym duszpasterzem i dbał bardzo o poziom moralny swoich parafian.

Kiedy w 1939 roku Niemcy zajęli Polskę ks. Bardel stał się prawdziwym pocieszycielem mieszkańców swojej parafii. Aresztowany w czerwcu 1941 roku pod zarzutem działalności patriotycznej został rozstrzelany w Biegonicach w dniu 22 sierpnia 1941 roku wraz ks. Tadeuszem Kaczmarczykiem i ks. Władysławem Deszczem wikariuszami parafii p.w. św. Małgorzaty w Nowym Sączu oraz 22 zakładnikami.

W 1945 rok został ekshumowany wraz z innymi rozstrzelanymi, rozpoznany przez miejscowych gospodarzy i pochowany na miejscowym cmentarzu w Trzetrzewinie 25 marca 1945 roku. Pogrzeb prowadził ks. infułat Roman Mazur z Nowego Sącza. A na jego grobie spoczywa skromny napis „Tu spoczywa pierwszy proboszcz z Trzetrzewiny”.

Ziemia Bocheńska wydała wielu wybitnych uczonych artystów i ludzi zasłużonych dla Ojczyzny i Kościoła. Nie sposób ich wszystkich wymienić. Trzeba jednak zachować w pamięci tych, którzy dla Ojczyzny i Kościoła przelali swoją krew i oddali życie jak ks. Józef Bardel. Ich świadectwo nie może być zapomniane – upomina nas Ojciec Święty Jan Paweł II.

Wanda Liguzińska

Pożegnanie telegramów

TELEGRAM zwany także depeszą wg WEP to pilna wiadomość przekazana telegraficznie i po zapisaniu doręczona adresatowi. Pierwsze wzmianki o telegrafii ukazały się pod koniec 1790 r, a rozwój nastąpił w latach 1830 — 40. Najstarszy telegram znajdujący się w Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu został nadany 6 lipca 1860 r i z Sosnowca dotarł do Warszawy za 5 godzin*



W XX wieku telegram stał się ważnym środkiem komunikacji, wykorzystywanym dla przesłania szybkiej informacji i z czasem stał się codziennością w kontaktach między ludźmi. Treść telegramu była przekazywana alfabetem Morse'a, ale przez nadawcę napisana piórem, bez śladów wycierania, wymazywania lub wyskrobywania wyrazów. Telegram był dostarczany przez specjalnego posłańca i zawsze odbierany jako informacja ważna, często związana z wydarzeniami smutnymi, dlatego odbiór depestry był związany z podnieceniem i niepokojem.

Ale bywały także telegramsy radosne z życzeniami na różne okoliczności i okazje jak imieniny, śluby, gratulacje, odwiedziny, spotkania. Dużą rolę odegrały telegramsy w kontaktach między przedsiębiorstwami, gdzie chodziło nie tylko o dostarczenie szybkiej informacji, ale zachowanie formy kontaktu.

Blankiety telegraficzne to różnego rodzaju druki. Te najprostsze to zwykła kartka papieru z nadrukiem poczty i prostą informacją. Następne wprowadzone w latach trzydziestych to blankiety ozdobne, na kartonikach, kolorowe z dostosowaną do okoliczności grafiką dostosowane do okoliczności nadania. Treść tych telegramów mogła być indywidualna, a dla wygody nadawcy były także teksty zunifikowane, tańsze.

Kiedyś telegramy były intratną pozycją dla poczty, wysyłano setki telegramów, bo były łatwiejszą formą przekazywania pilnych wiadomości od wyczekiwań na połączenie telefoniczne. Dzisiaj telefony są prawie w każdym domu, telefaksy, e-maile, SMS-y, dlatego depeza przestała być środkiem szybkiej informacji i z dniem 31 sierpnia br. nastąpi koniec swistej tradycji związanej z wizytą posłańca, który informował o nadejściu telegramu. Z czasem poczta ułatwiała dostarczenie telegramu adresatowi przez podanie jego treści telefonicznie, jeżeli adresat telefon posiadał i wtedy rzeczywiście wiadomość dochodziła szybko bez udziału posłańca i bez względu na warunki pogodowe i odległość od poczty do odbiorcy, które czasami utrudniały szybkie dotarcie z depezą.

Nie będziemy mogli nadawać telegramów, ale pozostaną nam przechowywane z sentymentem stare blankieciki z różnymi okolicznościowymi tekstami. Powspominamy i te kolorowe karteczki i kto kiedy nas odwiedzi, kiedy odebraliśmy gratulacje z okazji powiększenia się rodziny, a nawet te z czarną obwódką, mówiące o przyjaźni i życzliwości.

Wiele różnych urządzeń przechodzi w przeszłość, nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy, dopiero widząc je na jakiejsz ekspozycji poznajemy, że to było w codziennym użytkowaniu. Dlatego pożegnamy się z tą formą przekazywania wiadomości, dostosujemy się do współczesnych, szybszych, prostszych i tańszych, a telegram zostawimy w życzliwej pamięci.

KRONIKA

SEJMIK MAŁOPOLSKICH REGIONALISTÓW

18 maja b.r. odbył się w Krakowie Sejmik Małopolskich Regionalnych Towarzystw Kultury. Omawiano na nim sytuację stowarzyszeń regionalnych i trudności jakie wynikają z likwidacją Krajowego Ośrodka Dokumentacji Regionalnej RTK w Ciechanowie. Małopolski Ośrodek Dokumentacji RTK w Bochni istnieje nadal, jakkolwiek ograniczone zostały jego możliwości wydawnicze. Obecne środki finansowe powinny pozwolić jednak na wydanie kolejnego już V tomu rocznika „Małopolska. Regiony-Regionalizmy-Małe Ojczyzny”. Szczególnie życzliwie do środowiska regionalistów nastawiona jest telewizja publiczna. Nowym przewodniczącym Małopolskiej Rady RTK po ks. Władysławie Pilarczyku został pan Stanisław Klich prezes Stowarzyszenia Miłośników Krzeszowic. Wyłoniono także delegatów, którzy reprezentować będą regionalistów małopolskich na Kongresie RTK w Gorzowie Wielkopolskim we wrześniu b.r. Wśród delegatów jest m.in. red. Stanisław Gawor, członek Z.G. Stowarzyszenia Bochniaków, który reprezentować tam będzie także nasze Stowarzyszenie.

BOCHEŃSKI SŁOWNIK BIOGRAFICZNY

Na wiosnę i w lecie odbyło się w „Domu Bochniaków” pod kierunkiem red. Jana Łyska z Warszawy kilka spotkań komitetu redakcyjnego „Bocheńskiego Słownika Biograficznego”. W komitecie tym działają: red. Jan Łysek, red. Stanisław Gawor, Zdzisław Szuba, Jan Flaszka, Janusz Paprota, Stanisław Kobiela. Gotowość do współpracy zgłosili m.in. prof. dr hab. Jerzy Wyrozumski, prof. dr Andrzej Kastory, Jan Klimowski, prof. Janusz Żarek, prof. dr hab. Janusz Sondel. Po przyjęciu koncepcji słownika komitet przystępuje obecnie do analizy zebranego materiału i pracy nad notami biograficznymi.

WSPÓŁPRACA

Z MUZEUM „AUSCHWITZ-BIRKENAU”

Ponad 150 not biograficznych mieszkańców Bochni i powiatu aresztowanych podczas okupacji niemieckiej w Polsce i wywiezionych do obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau wraz ze zdjęciami, to plon akcji przeprowadzonej na

wiosnę b.r. przez nasze Stowarzyszenie w odpowiedzi na apel Muzeum „Auschwitz-Birkenau”. Materiały te w maju b.r. (zdjęcia na płycie kompaktowej) przekazał Muzeum prezes Z.G. Stowarzyszenia Stanisław Kobiela. Zostaną one wykorzystane w wydawnictwie przygotowywanym przez Muzeum. Następną akcją – wywiady z rodzinami byłych więźniów obozu – przeprowadzimy wykorzystując blankiety przekazane nam przez Muzeum – w jesieni b.r.

Otrzymaliśmy od dyrektora Muzeum pana mgr Jerzego Wróblewskiego 14 czerwca b.r. podziękowanie za dotychczasową współpracę i zeszyty „Pro Memoria” oraz opracowanie Adama Cyry „Ochotnik do Auschwitz” o rotmistrzu Witoldzie Pileckim, którego losy w przedziwny sposób splotły się z Bochnią i Wiśniczem.

WSPÓŁPRACA

Z ARCHIWUM POMORSKIM W TORUNIU

Otrzymaliśmy podziękowanie od pani prof. Doroty Vakarecy-Zawackiej prezesa Archiwum Pomorskiego w Toruniu za nadesłane materiały o bochniakach, kombatanckach I i II wojny światowej.

SPOTKANIE PREZESÓW STOWARZYSZENIA

W lipcu b.r. w „Domu Bochniaków” odbyło się spotkanie prezesów oddziałów Stowarzyszenia: gen. bryg. Dr Tadeusza Cepaka (O. Warszawski), mgr Andrzeja Migdała (O. Wrocławski), Mariana Sołtysa (O. Krakowski) i prezesa Z.G. Stanisława Kobieli. Omawiano sprawę dotyczące Stowarzyszenia.

SPOTKANIA W WARSZAWIE

18 maja b.r. w lokalu Centralnej Biblioteki Wojskowej w Warszawie odbyło się plenarne spotkanie Oddziału Warszawskiego z udziałem gości z Bochni: przewodniczącego Rady Miejskiej Jana Olszewskiego i prezesa Z.G. Stowarzyszenia Stanisława Kobieli. Zebranie prowadził prezes Oddziału gen. bryg. Dr Tadeusz Cepak. Omawiano sprawę rozwoju miasta Bochni i funkcjonowania bocheńskiego samorządu. Po ożywionej i dyskusji prof. dr hab. Stanisław Pachuta zarekomen-



Od lewej: gen. dr Tadeusz Cepak, Jan Olszewski, S. Kobiela, Anna Kaim, red. Eugeniusz Kaczmarczyk.

dował zebranych Jana Olszewskiego jako kandydata na burmistrza Bochni. Zebrani przez aklamację poparli kandydaturę Jana Olszewskiego na burmistrza Bochni, rekomendując go mieszkańcom Bochni jako osobę uczciwą w pełni kompetentną do objęcia takiego stanowiska.

W czerwcu b.r. w plenarnym spotkaniu Oddziału warszawskiego uczestniczyła pani Jolanta Wojciechowska, autorka kilku artykułów o dr Władysławie Kierniku, publikowanych na łamach „Wiadomości Bocheńskich”. Pani Jolanta Wojciechowska z Sochaczewa przygotowuje pracę doktorską o tym wybitnym działaczu ludowym, a jednocześnie mocno związanym z Bochnią i naszym Stowarzyszeniem.

O TWÓRCZOŚCI MARII ODYNIEC

Na wiosnę b.r. władze samorządowej Sopotu wraz ze środowiskami kulturalnymi Wybrzeża zorganizowały uroczystość poświęconą twórczości pani Marii Odyńiec, autorki „Organów Oliwskich”, „Domu pod Campi”, „Między zmierzchem a świtem”, „Cela nr 32”, „Lot dzikich gęsi?” połączona z wieczorem autorskim. Należy nadmienić, że pani Maria Odyńiec przekazała nam niedawno cenne informacje na temat dr Czesława Górskiego który był jednym z założycieli bocheńskiego „Sokoła” i jego pierwszym prezesem w 1891 roku.

SPOTKANIE W „HENRYKÓWCE”

W czerwcu b.r. w gospodarstwie agroturystycznym „Henrykówka” spotkali się, przy pięknej pogodzie, członkowie Zarządu Głównego Stowarzyszenia i Towarzystwa Miłośników Wiśnicza. Wśród toastów – z okazji imienin — na cześć kierowniczkę naszego biura pani Wandy Ligzińskiej prezes S. Kobiela złożył w imieniu zebranych życzenia imieninowe wręczając bukiet czerwonych róż. Właściciel obiektu zapoznał nas z zasadami na jakich funkcjonuje gospodarstwo agroturystyczne, a następnie uczestnicy spotkania degustowali różne smakołyki przygotowane przez gospodarzy. Oczywiście nie brakło tradycyjnego żurku i gorącej kielbasy z rusztu.

WYCIECZKA ODDZIAŁU KRAKOWSKIEGO

Długo zapowiadana wycieczka Oddziału do Szczyżycyca w dniu 1 maja b.r. doszła do skutku. Przyjechała niewielka grupa 10 osób, która zwiedziła kościół, klasztor,

obiekty klasztorne i muzeum. Pogoda dopisała. Ojciec zakonnik zaprasza chętnych Bochniaków do odwiedzenia klasztoru i zapewnia miejsce na ognisko.

TRADYCJA NIE GINIE

Chodenice corocznie podtrzymują tradycje związane ze świętem Matki Bożej Zielnej. Także i tym razem przynieśli do kościoła tradycyjny wieniec upleciony z tegorocznego zboża i kwiatów z podzięką za udane plony z pól i sadów. Tegoroczny wieniec miał kształt oryginalnej korony. Zwrócili się do bocheńskiego proboszcza z piękną obietnicą w której m.in. usłyszeliśmy: W przededniu wizyty naszego rodaka papieża Jana Pawła II, który cały swój pontyfikat oddał w opiekę Matce Przenajświętszej „Totus Tuus” przyrzekamy Ci Matko Boża Wniebowzięta żyć w prawdzie i pielęgnować wartości i tradycje naszych ojców oraz godnie wychowywać młode pokolenie. U stóp Chrystusowego ołtarza składamy Ci Pani Bocheńska zbożowo-kwiatową koronę wraz z naszym chlebem powszednim..

JESZCZE O HUSARI

Wykład kol. Jarosława Przybyły wygłoszony w marcu b.r. w „Domu Bochniaków” spotkał się z tak dużym zainteresowaniem, że w czerwcu b.r. został wygłoszony ponownie dla członków Towarzystwa Miłośników Wiśnicza i młodzieży wiśnickiej na zamku Lubomirskich w Wiśniczu. Tym razem autor zaprezentował temat w rozszerzonej wersji i zilustrował go ciekawymi przeżyciami.

W 56 ROCZNICĘ „OLYMPII-SOKOŁA”

W piękną lipcową niedzielę / 21.07.2002 / spotkali się wierni założyciele i zawodnicy młodzieżowego klubu „Olympia — Sokół”, utworzonego w 1946 roku w Bochni. Jak zwykle na początku dokonano odwiedzin grobów bezinteresownych działaczy: ś.p., ś.p. mgr Dobrzańskiego, mgr Osiki, i E. Stańczewskiego oraz kolegów E. Lupy, E. Ogieli, E. Broniszewskiego. Przy wspólnym obiedzie odżyły wspomnienia minionych — górnych i chmurnych -przygód klubowych i towarzyskich. Więzy łączące kolegów przez 56 lat widocznie są trwale, skoro wspólny język odnajdują ci których los wyniósł na wysokie stanowiska z tymi, którzy pozostali na dole drabiny społecznej, wierni tradycji rzemieślniczej, lub robotniczej swych ojców. Dziarscy młodzieńcy, z których najmłodszy pęta liczy 68 lat postanowili przyszłoroczne spotkanie zsynchronizować z rocznicowym świętem Bochni. Umowa umową, ale o tym czy wszyscy doczekają zadecyduje KTOŚ inny, zwłaszcza, że tylko jeden młodzieniec 70-letni do tej pory nigdy i na nic nie chorował, a nawet się nie przeziębiał. W zdrowym ciele zdrowy duch.

MENADŻER SPÓŁDZIELCA 2002

To zaszczytne wyróżnienie otrzymał w b.r. prezes Zarządu Powiatowej Spółdzielni Spożywców w Bochni mgr Adam Sosnowiec z rąk Prezydenta R.P.

TURYSTYCZNE ODKRYWANIE TATR

To tytuł wystawy otwartej w dniu 27 czerwca b.r. w Muzeum im. Prof. Fischera a zorganizowanej przez Mu-

zeum w Kieżmarku. Mieliśmy okazję popatrzeć na nasze ukochane Tatry ze słowackiej perspektywy. Na wystawie nie zabrakło także wątków bocheńskich, a więc ludzi związanych zarówno z Bochnią jak i Tatrami i Słowacją (ks. Wojciech Grzegorzek, Stanisław Barabasz, ks. Walenty Gadowski)

SPRAWY GOSPODARCZE

Na wiosnę wymalowaliśmy pomieszczenia „Domu Bochniaków”. Obecnie przeprowadzamy konserwację dachu. Sprawy te nadzorują kol. Jan Paluch, Ryszard Pachuta, Stanisław Dobranowski.

NOWY POMNIK W WIŚNICZU

15 sierpnia b.r. odsłonięty został przy ul. Zamkowej jeszcze jeden pomnik dłuta prof. Czesława Dźwigaja z ASP w Krakowie. Pomnik przedstawia w pozycji siedzącej Juliusza Kossaka trzymającego w jednej ręce paletę z farbami a w drugiej pędzel. Juliusz Kossak był seniorem kilkupokoleniowej rodziny krakowskiej Kossaków – artystów malarzy, a urodził się właśnie tu w Wiśniczu. W uroczystości wziął udział m.in. prof. Olszański z Krakowa wraz z małżonką — autor monografii o Kossakach, który odsłonił pomnik. Poświęcenia pomnika dokonał tutejszy proboszcz ks. Józef Strugała,

a przemówienie do Wiśniczan wygłosił ks. dr Tadeusz Bukowski dyrektor Archiwum Diecezjalnego w Tarnowie.

NOWE MUZEUM W WIŚNICZU

Po uroczystości odsłonięcia pomnika zebrani goście przeszli przed stojący nieopodal budynek, zbudowany przez Lubomirskich w 1641 roku tzw. „Dom Ubogich”. Budynek ten przez lata zmieniał swoje przeznaczenie, był najpierw szpitalem, potem mieszkaniem dla ubogich rodzin. Popadał stopniowo w ruinę, aż wreszcie burmistrz Stanisław Gaworczyk i władze samorządowe zdecydowały, że w budynku tym powstanie Muzeum Ziemi Wiśnickiej. Szybko obiekt został wyremontowany i przygotowany na przyjęcie zbiorów. Po poświęceniu pomnika i kolejnym przemówieniu ks. dr Tadeusza Bukowskiego burmistrz Gaworczyk powiedział, że tutaj będzie się gromadzić wszystko to co wiąże się z historią Ziemi Wiśnickiej. Goście zobaczyli cztery pokoje, w dwóch pierwszych gabloty z medalionami, orderami i projektami medalierskimi prof. Czesława Dźwigaja, obrazy m.in. ks. Nowaka, M. Rojka, Stasiniewicza, a także zwykle sprzęty gospodarstwa domowego. Byliśmy zaskoczeni ilością zgromadzonych już eksponatów.

PASJA TRZECH POKOLEŃ

25 sierpnia b.r. otwarta została w Wiśniczu rodzinna wystawa p.t. „Pasja trzech pokoleń” przedstawiająca tkaniny, unikatowe portrety rodzinne, wzornictwo przemysłowe autorstwa pani Barbary Rosiek, jej córki Ewy i wnuka Pawła. Dzieje tej rodziny od ponad 200 lat związane są z Wiśniczem. Interesująca jest także lokalizacja wystawy w murach starej dzwonnicy przy plebanii wiśnickiej.

Z wielkim żalem zawiadamiamy,
że odeszła od nas na zawsze
w dniu 2 kwietnia 2002 roku
we Wrocławiu



mgr Zofia Maciejewska

nauczycielka matematyki, która brała udział w tajnym nauczaniu w Bochni w latach wojny 1940-45 oraz była wychowawczynią uczniów I klasy licealnej w Gimnazjum i Liceum im. Króla Kazimierza Wielkiego w Bochni w pierwszym roku po wojnie. Dzięki swojej osobowości pozostawiła w charakterach swoich wychowanków ślad wspaniałej pracy polskiego nauczyciela. Jej nazwisko figuruje na tablicy pamiątkowej w Gimnazjum i Liceum Bocheńskim poświęconej zasłużonym nauczycielom tajnego nauczania

Cześć Jej Pamięci

Członkowie Oddziału Wrocławskiego
i Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków
i Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Z ogromnym żalem zawiadamiamy, że z grona
Bochniaków Warszawskich odeszła zasłużona
nestorka Stowarzyszenia,



pani Kłotylda Fic

która przez wiele lat pełniła funkcję sekretarza Oddziału Warszawskiego i prowadziła niezwykle starannie kronikę Oddziału, która dzisiaj stanowi niezwykle wartościowy dla Stowarzyszenia dokument.

Cześć Jej Pamięci

Członkowie Oddziału Warszawskiego
i Zarząd Główny Stowarzyszenia Bochniaków
I Miłośników Ziemi Bocheńskiej

Ryszard Pachuta, Jacek Kobiela

Uzdrowisko – nowa rzeczywistość

Każdego mieszkańca Bochni zaskakuje imponujące tempo i jakość prac wykonywanych obecnie wokół szybu Sutoris. Wszędzie mówi się, że Uzdrowisko staje się prawdziwą wizytówką Bochni oraz, że wybrane w dniu 27 października, nowe władze samorządowe Bochni muszą nawiązać bardziej ścisłą współpracę z Uzdrowiskiem i Kopalnią, aby wreszcie wprowadzić w życie martwe do tej pory zapisy strategii naszego miasta.

O przyszłości uzdrowiska Kopalni Soli „Bochnia” mówił w dniu 22 sierpnia b.r. na spotkaniu w „Domu Bochniaków” z działaczami Komitetu Wyborczego „Bochniaci dla Bochni” i Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej pan prezes Zbigniew Urban. Postaramy się więc w duży skrócie zaprezentować główne tezy jego wystąpienia i dyskusji jaka się następnie rozwinęła.

Prace adaptacyjno-remontowe hotelu „Sutoris” przy ulicy Kraszewskiego zakończą się w listopadzie b.r., a otwarcie hotelu nastąpi z okazji tradycyjnej Barbórki w dniu 4 grudnia b.r. Hotel na 120 osób będzie miał bardzo dobry standard, rozwinięta będzie część balneologiczna przygotowana dla 60 pacjentów dziennie. W pozostałej części naziemnej poza oczywiście szybem „Sutoris” ruszy już w listopadzie nowoczesne biuro obsługi ruchu turystycznego, a w lokalach dawnego klubu „Grotta” będzie restauracja, kawiarnia, wykorzystany będzie park przed budynkiem oraz urządzony zostanie ogród zimowy. Po rekonstrukcji szybu Campi centrum masowego ruchu turystycznego przeniesie się w okolice tego szybu, gdzie powstanie parking dla 20 autokarów i 150 samochodów, a dojazd autokarów będzie zorganizowany w taki sposób, by nie komplikować komunikacji w mieście. Uruchomienie szybu Campi zwiększy przepustowość zjazdów do kopalni. Jeżeli obecnie w ciągu roku szybem Sutoris zjeżdża do kopalni ok. 30.000 osób, to przy dwóch szybach możliwości zjazdu powiększą się co spowoduje skrócenie czasu oczekiwania na zjazd. Trzeba bowiem wiedzieć, że w okresie ostatnich 3 miesięcy w każdym miesiącu zjeżdża do kopalni ok. 12-13.000 turystów a więc dwukrotnie więcej niż w tych samych miesiącach roku ubiegłego. Przy szybie Campi dodatkową atrakcją będzie **oglądanie słynnej maszyny parowej z 1909 roku**, nad którą naukową opiekę sprawuje Muzeum Techniki w Warszawie. Będzie także przy kominie druga winda którą będzie się wyjeżdżać nie w dół... lecz w górę na szczyt komina, by

podziwiać z tego punktu widokowego miasto. Na terenie warzelni urządzona zostanie sala widowiskowa.

Równolegle prowadzone są prace pod ziemią i do tego celu wykorzystana będzie w znacznej części dokumentacja przygotowana jeszcze w 1994 r. przez firmę Hansen. W komorze Mysiór będzie urządzony oryginalny salon na 35 osób z własnym zapleczem gastronomicznym. Podniesiona zostanie atrakcyjność komory Krystian poprzez wprowadzenie odpowiedniej gry świateł podnoszącej walory tej pięknej wykutej w soli komory. Odnawiana jest aktualnie kaplica św. Kingi, w której zmienia się oświetlenie i wyposażenie kaplicy, nowe ławki, natomiast w komorze Kołdrasa powstanie podziemny hotel dla 48 osób z własnym zapleczem gastronomicznym i sala sportową.

W komorze Ważyn przebudowane zostanie już niedługo boisko sportowe, zaplecze sanitarne, socjalne i pomieszczenie dla sędziów sportowych, bowiem planuje się tutaj rozgrywki w różnych dziedzinach sportowych. Już w pierwszej połowie października b.r. przebudowany zostanie węzeł sanitarny w noclegowni w tej komorze, a sama noclegownia zmieni charakter na bardziej elegancki i intymny. W rejonie ważyńskiego baru przygotowana zostanie sala na spotkania i konferencje, sala internetowa dla młodzieży. Na wiosnę planuje się przebudowę restauracji w komorze Ważyn.

Ale to nie koniec podziemnych atrakcji, bowiem na głębokości 120 m. pod ziemią zostanie uruchomiona kaplica Passionis w której znajduje się przepiękna polichromia. Obecna trasa turystyczna zostanie wzbogacona o drugą trasę turystyczno-geologiczną ale tylko dla sprawnych i odważnych czyli o t.zw. **trasę ekstremalną**. To będzie coś zupełnie bajkowego i niezwykłego. Dopiero po przejściu tej trasy będzie można powiedzieć ile uroku ma bocheńska kopalnia. Wąskie przejścia między ciasno ułożoną obudową, surowe odcinki starych wyrobisk, znaczna przepaścista ekspozycja – to trasa z dreszczykiem tylko dla ludzi odważnych, o silnych nerwach, wytrzymałych i oczywiście niewrażliwych na przepaście. Zaczynać się ona będzie już na głębokości 69 metrów od poziomu Danielowiec z XIII wieku poprzez ciąg aż pięciu komór rozprzestrzeniających się do poziomu Sobieski. Dalszy jej odcinek najbardziej eksponowany to tzw. „Zejście Kalwaria” z głębokości 105 m. (poziom Sobieski) na głębokość 176 metrów (poziom August) o ogromnych trudnościach wspinaczkowych (jak sama nazwa na to wskazuje) ale jednocześnie o niepowtarzalnych walorach

WIADOMOŚCI BOCHEŃSKIE

KWARTALNIK STOWARZYSZENIA BOCHNIAKÓW I MIŁOŚNIKÓW ZIEMI BOCHEŃSKIEJ

Redakcja: Stanisław Kobiela - red. naczelny, Mieczysław Rosiek.

Adres redakcji: 32-700 Bochnia, Rynek 2, Dom Bochniaków, tel. 612-34-79 oraz 611-86-21

e-mail: mzb@igloonet.bochnia.pl

Przygotowanie elektroniczne i druk: Brzeska Oficyna Wydawnicza, 32-800 Brzesko, ul. Czarnowiejska 1, tel. 0 14 686 14 70, tel./fax: 014 663 11 91, e-mail: druk@mail.zetosa.com.pl.

widokowych zakończone 15-metrowym szybikiem. Odważni będą mogli przechodzić tę trasę w maksymalnie 8-osobowych grupach, w hełmach górniczych z lampami górniczymi i pozostałym oporządzeniem a każdy na drogę dostanie metalowy znaczek identyfikacyjny. Jeśli dodamy, że trasę o długości 1,5 km można pokonać najszybciej w 1,5 godziny to możemy wyrobić sobie pogląd na skalę trudności.

Będzie także **rowerowa podziemna trasa sprawnościowa** na poziomie IV i V. Jazda na rowerach górskich będzie oświetlana tylko latarkami i choćby z tego powodu będzie cieszyła się dużym zainteresowaniem.

Dla potrzeb uzdrowiska zorganizowany już został olbrzymi kompleks rekreacyjno-sportowy w Borku. Są już tutaj boiska do gry w piłkę nożną, siatkówkę, koszykówkę i tenisa, będzie niebawem oddany do użytku poligon wojskowy i **miasteczko militarne**, przeszkody, wieżyczki, mały pentagon z wszelkimi atrakcjami prowadzenia gier wojskowych dla młodzieży zarówno w wymiarze kameralnym jak i polowym, zwłaszcza modny dziś paint ball, młodzież będzie mogła przemieszczać się najrozmaitszymi pojazdami wojskowymi, a to wszystko w ramach świetnej zabawy w mundurach różnych formacji, po której oczekiwać będzie na zmęczonych prawdziwa kuchnia polowa z prawdziwą grochówką.

Obok części sportowo-wojskowej będzie do wykorzystania **zespół zarybionych stawów** o pow. 3-4 ha w których z atrakcyjnych mostów będzie można złowić sobie rybkę i usmażyć na grillu, ale obok będzie też bar na 100 osób. Dla amatorów jazdy konnej zarówno wierzchem jak i powozami przygotowano 18-20 koni. W pobliżu funkcjonować będzie **stru-**

siarnia, którą będzie można zwiedzać, a nawet kupić jajo lub pióro strusie.

Cały ten ogromny teren będzie ogrodzony, a więc zabezpieczony przed osobami nieporządnymi i służyć będzie jako zaplecze dla potrzeb uzdrowiska, chodzi bowiem o to, aby turysta, który wyśpi się w kopalni po całodziennym chłonięciu wrażeń podziemnych mógł w Borku rozprostować kości, rozkoszować się słońcem i innymi atrakcjami, których nie zapewni żadnej innej hotel w Polsce.

Na pytanie z sali czy będzie to działalność opłacalna prezes Urban odpowiedział, że poza Bochnią wykonał już ogromną pracę marketingową, ma zapewniony przyjazd całych grup turystycznych do Bochni ze Skandynawii i Kanady a także młodzieży z Ukrainy z rejonu Czarnobyla, której pobyt finansować będą Japończycy. Efektem pracy marketingowej jest pozyskanie dyrektorów 250 szkół w Polsce im. Jana Pawła II do organizowania w Bochni tzw. szkół zielonych w okresie ferii i wakacji, co jednak nie oznacza, że z poligonu i miasteczka wojskowego w Borku nie będą mogli skorzystać i Bochniaci, gdy tylko zamarzy się im taka zabawa.

Spotkanie przebiegło w serdecznej i miłej atmosferze, tym bardziej, że nasz kandydat na burmistrza Bochni Jan Olszewski na gorąco konfrontował nasz program wyborczy pod kątem współpracy z Kopalnią Soli i Uzdrowiskiem. I zadeklarował, że w przypadku naszego sukcesu wyborczego taka współpraca nabierze konkretnych kształtów, bowiem Bochnia musi także dla własnego dobra wykazać się różnymi inicjatywami, z których pierwszy będzie miał hasło „równe chodniki w Bochni”, bo są one potrzebne nie tylko dla turystów ale i dla mieszkańców.

Pogrzeb ś.p. Eugeniusza Żuka ps. "Kord"

W dniu 25 sierpnia b.r. zmarł w Bochni ś.p. prof. Eugeniusz Żuk, absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego, polonista, nauczyciel, publicysta, porucznik Armii Krajowej, uczestnik Powstania Warszawskiego i bitwy pod Pecynką, za działalność polityczną skazany dwukrotnie przez sądu komunistyczne na 12 i 5 lat więzienia, wielokrotnie zwalniany z pracy i szykanowany w okresie PRL-u, w 1989 r. zastępca przewodniczącego Komitetu Obywatelskiego "Solidarność" i członek Zarządu "Polskiego Komitetu Polska Norymberga II", autor publikacji o poetach i poezji zakazanej w PRL-u.

Pogrzeb odbył się w dniu 29 sierpnia b.r. na starym cmentarzu w Bochni w obecności licznie zebranego społeczeństwa Bochni i delegacji ze sztabami Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej z Warszawy i z Bochni i delegacji Rady Miejskiej Bochni z przewodniczącym Rady na czele. Przemawiali koledzy i przyjaciela-kombatanci a w imieniu byłych uczniów Profesora z bocheńskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Króla Kazimierza Wielkiego przemawiali pan Jerzy Jedliński i pan Jerzy Orzeł.

Proces krakowski WIN (11 VIII – 10 IX 1947)

Właśnie obecnie mija 55 rocznica niesławnego procesu krakowskiego II komendy WIN, który odbywał się w dniach od 11 sierpnia do 10 września 1947 roku. Z tej okazji w

dnia 6 września b.r. w Muzeum Historii Fotografii przy ul. Józefitów w Krakowie odbędzie się sesja naukowa zorganizowana przez Instytut Pamięci Narodowej w Krakowie, podczas której wykład na temat działalności WiN i PSL, rozbitcia II Zarządu Głównego WiN, przebiegu procesu krakowskiego oraz sędziów orzekających w tym niesławnym procesie a także stosunku Uniwersytetu Jagiellońskiego i polskiej emigracji niepodległościowej do tego procesu wygłoszą: dr hab. Janusz Kurtyka, mgr Mateusz Szpytma, dr Zbigniew Nawrocki, dr Andrzej Chmielarz, dr Zdzisław Zblewski, mgr Wojciech Frazik, mgr Filip Musiał, dr Krzysztof Szwagrzyk, dr Andrzej Krzysztof Kunert, mgr Danuta Suchorowska, prof. dr hab. Ryszard Terlecki, mgr Małgorzata Ptasieńska.

W procesie tym na ławie oskarżonych zasiadał **prof. Jan Kot z Bochni** i skazany został trzykrotnie na karę śmierci. Mury więzienia opuścił dopiero po Polskim Październiku w 1957 roku. W numerze 125 (17 615) Dziennika Polskiego ukazał się artykuł Filipa Musiała p.t. "Szpiedzy w archiwum", który nasze Stowarzyszenie przyjęło z dezaprobatą. Naszym zdaniem artykuł ten jest nierzetelny i przedstawia w sposób nieobiektywny postać prof. Jana Kota. Analiza materiałów przedstawionych przez autora artykułu nie daje żadnych podstaw do domniemań, jakie czyni autor, który nadto nie informuje czytelnika jaki wyrok otrzymał Jan Kot – jedna z czołowych postaci tego procesu. Stowarzyszenie nasze złoży niebawem swój protest w Instytucie Pamięci Narodowej.

Jan Paluch

ŻUBR - król Niepołomickiej Puszczy

*Tu wszystko jest prawdziwe,
jak każdy kształt gałązki
jak taniec w liściu słońca
i śpiew,
i trzask,
i szelest,
i krople spadającej ciszy
na obolałą skroń ...
stąpnięcia dobrych zwierząt
i błękit gęstniejący
w wieczornych skrzydłach snu.
Borys Russko „Puszcza”*

Ongiś żubry zamieszkiwały prawie całą Europę. Za sprawą karczowania wielkich połaci leśnych, wojen oraz myśliwskich pasji naszych przodków, zwierzęta te wcześniej zaczęły ginąć. Z końcem XII wieku nie było ich już w Anglii, w XIV-tym we Francji i Włoszech. W Rumunii ostatni żubr padł w 1755 roku, a w Niemczech w 1793 roku. Najdłużej ów królewski zwierz, nie mający wśród fauny europejskiej równych sobie ani siłą ani wielkością, zachował się w stanie dzikim w puszczańskich przestrzeniach Polski i Litwy.

Żubr już w Statucie Litewskim z 1523 r. króla Zygmunta Starego uznany został za gatunek wymagający ochrony. Mimo troski monarchów, do końca XVII wieku żubry zniknęły prawie zupełnie z puszczy polskich, kniei pruskich i litewskich. Na początku XIX w. na świecie istniały tylko dwa stada żubrów żyjących na wolności – w Puszczy Białowiejskiej liczące 400 sztuk, oraz na północnych stokach Kaukazu, liczące około 1000 sztuk. 21 lutego 1921 roku z kłusowniczej ręki byłego strażnika padł ostatni żubr w Puszczy Białowiejskiej. Na Kaukazie ostatniego żubra żyjącego na wolności zabito w 1924 roku. W roku 1923 w prywatnych hodowlach zachowało się jedynie 40 osobników. W latach dwudziestych XX wieku, dzięki staraniom Jana Sztolcmana, Jana Żabińskiego, Jana Karpińskiego oraz innych przyrodników, rozpoczęto restytucję tego gatunku w Białowieży, co pozwoliło na zwiększenie liczebności stada do 29 osobników.

Główna Dyrekcja Lasów Państwowych mając na względzie zwiększenie pogłowia żubrów zdecydowała się przenieść stado do innych ośrodków, w tym również do Puszczy Niepołomickiej. W 1938 roku parę żubrzą przywieziono do Niepołomic. W czasie okupacji żubry niepołomickie wywieziono do Niemiec. Po II wojnie światowej w Polsce żyły 43 żubry, w tym cztery w Ośrodku Hodowli Żubra „Żubrowisko” (OHŻ) w Niepołomicach. W 1997 roku w ośrodkach hodowli (Białowieża, Borki, Gołuchów koło Kalisza, Pszczyna, Smardzewice, na Wolinie) i na wolności (Puszcza Białowiejska, Knyszyńska, Lasy Wałeckie koło Piły, Bieszczady i Niepołomice) żyło 699 sztuk żubrów. Aktualnie ocenia się stan populacji na około 900 sztuk, co stanowi 1/3 światowego zwierzostanu tego gatunku. Dzięki zaangażowaniu

wielu ludzi nauki i praktyków leśników udało się odtworzyć prawie zaginioną populację żubra w Polsce, w czym nie mały udział miał również Ośrodek Hodowli Żubra w Niepołomicach.

Żubr (*Bison bonasus*) jest zwierzęciem podlegającym ścisłej ochronie gatunkowej. Masa ciała samca wynosi 800 – 1000 kg, a samicy 320 – 640 kg. Samce są wyższe i masywniejsze, z wyraźnie zaznaczoną grzywą i mogą osiągać w kłębie do 2 m wysokości. Żubry żywią się roślinnością zielną, korą, gałązkami. Ruja przebiega w miesiącach od lipca do września, ciąża trwa przeciętnie 254 – 285 dni. Samica w czerwcu rodzi 1 rzadko 2 młode. Żubry żyją około 30 – 35 lat i nie mają w zasadzie wrogów naturalnych. Największe zagrożenie stanowią gruźlica, pryszczycza i choroby pasożytnicze. W hodowlach zamkniętych stado musi być dożywiane.

Od momentu powstania OHŻ w Niepołomicach do roku 1955 zarząd nad nim sprawowało Nadleśnictwo Niepołomice. W roku 1955 „Żubrowisko” przeszło pod zarząd Departamentu Ochrony Przyrody i otrzymało nazwę „Ośrodek Hodowli Rzadkich Zwierząt w Niepołomicach”. Od 1 stycznia 1979 roku Departament Ochrony Przyrody przekazał Ośrodek we władanie Ojcowskiemu Parkowi Narodowemu z siedzibą w Ojcowie a od 1998 roku zarząd nad Ośrodkiem ponownie sprawuje Nadleśnictwo Niepołomice.

W „Żubrowisku” żyją 22 żubry – 6 byków i 16 krów, które bytują w wydzielonym fragmencie drzewostanu o powierzchni 50,76 ha. W latach 1999 – 2002 w ramach programu „Utrzymania populacji żubra” i dotacji z NFOŚiGW powiększono powierzchnię o 20 ha oraz wykonano modernizację infrastruktury OHŻ. Środki na bieżące utrzymanie ośrodka pochodzą w większości z budżetu państwa, a nadzór nad prawidłowym prowadzeniem hodowli sprawuje Główny Konserwator Przyrody. Zmiany zwierzostanu w OHŻ ewidencjonowane są w „Księdze Rodowodowej Żubrów”. W OHŻ Niepołomice imię każdego żubra zaczyna się od litery P. Najlepiej obrazuje to fragment księgi rodowodowej niepołomickich żubrów:



Maria Koniuch**Deszcz**

Polwa (krowa) nr rodowodu 5809,
matka Poliza ojciec Kader, ur. 15.11.1985 r.

Pozorna (krowa) nr rodowodu 5529,
matka Poradna ojciec Poleszo, ur. 27.06.1984 r.

Pleda (krowa) nr rodowodu 5554,
matka Pleszna ojciec Plewnik, ur. 31.10.1984 r.

Polbryza (krowa) nr rodowodu 6677,
matka Pozorna, ojciec Pochodny, ur.06.05.1988 r.
Polgala (krowa) nr rodowodu 6678,
matka Porąbka, ojciec Pochodny, ur. 09.06.1988 r.

Poleśna II (krowa) nr rodowodu 6679),
matka Pozytywka, ojciec Pochodny,
ur. 14.07.1988 r.

Polant (byk), nr rodowodu 7015,
matka Polpuszcza, ojciec Pochodny,
ur. 03.05.1990 r

Poliska (krowa), nr rodowodu 7016,
matka Pleda, ojciec Pochodny, ur. 30.07.1990 r.

Polota (krowa), nr rodowodu 7017,
matka Polsylwa, ojciec Pochodny, ur. 15.08.1990 r.

Polkasia (krowa), nr rodowodu 7298,
matka Potoczna, ojciec Pochodny, ur. 08.05.1991 r.

Polmega (krowa) nr rodowodu 7582,
matka Polwa, ojciec Polmir, ur. 21.05.1992 r.

Polra (krowa), nr rodowodu 7766,
matka Polpuszcza, ojciec Polmir, ur. 10.05.1993 r.

Polarnik (byk) nr rodowodu 7767,
matka Polbryza, ojciec Polmir, ur. 07.06.1993 r.

Popiel (byk) nr rodowodu 6855,
matka Pokrzywa II, ojciec Pograf, ur. 18.07.1989 r.

Poliksena (krowa), nr rodowodu 8040,
matka Polsylwa, ojciec Popiel, ur. 08.06.1994 r.

Wieloletnim kierownikiem Ośrodka był inż. leśnik Stanisław Wiktorowicz. Od 1998 r. Ośrodkiem zajmuje się przedstawiciel młodego pokolenia podleśniczy Sylwester Zielen.

(Mgr inż. Jan Paluch jest naczelnikiem Wydziału Wdrożeń i Inżynierii Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Krakowie. Jest także członkiem Z.G. Stowarzyszenia Bochniaków i Miłośników Ziemi Bocheńskiej oraz członkiem Polskiego Towarzystwa Leśnego)

*Świętojański deszcz czerwcowy
Szare chmury
Smutek z deszczem
Nie patrz w chmury
Patrz na zieleń
Na zieloność traw i liści
Jak się mienia, jak się błyszczą
Ile siły w tej zieleni,
Ile mocy w jej odcieniach.
Bez zieleni nie ma życia
I w zielonym jest nadzieja.
Kolorowe płatki kwiatów
W deszczu błędną,
W deszczu giną,
A zieloność traw i liści
W deszczu swym bogactwem mam.
Świętojański deszcz czerwcowy
Cuda czyni z tą zielenią,
Daje spokój i nadzieję
Niech trwa wiecznie tu na ziemi
A w upalne parne lato
Gdy soczysta zieleń zblednie
Wspomnij czerwiec,
Z świętojańskim chłodnym deszczem.*

